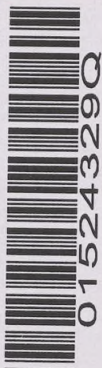


Wydawnictwo „Tygodnika Narodowego”,
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. : : :
Przedpłatę rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal.
ćwierćrocznie 2 kor. 40 hal. — należy przysyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
ul. Wiślna 2. (biuro M. Hupczyca). — W agencjach na
provincji prenumerata kwartalnie 2 kor. 70 halerzy.

Ogłoszenia: Od wiersza I-lamowego petytem 30 hal.
Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro Marjana
Hupczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

Biuro Dzienników MARYANA HUPCZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340

przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.

Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

L. 10.
Męski ankr. remontoir.



Kor. 3,90.

z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polsk.
bardzo dobrze idący na min.
wyregulowany. Na żądanie
wysyłam darmo i oplatnie
katalog ilustr. zegarów, zegarków,
wyróbów jubilerskich, chińsk. srebra, przyborów,
narzędzi zegarmistrzowskich i towarów mu-
zycznych 11

F. Pamm, Kraków, Zielona 103

Rocznik XIV.

„RODZINA I SZKOŁA“

z dodatkiem
naukowym

„WIEDZA I PRACA“

Rok 1909.

Pismo, poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, dalszemu kształceniu nauczycielstwa oraz
szerzeniu i popularyzowaniu wiedzy.

„Rodzina i Szkoła“ jest najtańszem pismem pedagogicznym polskiem.

„Rodzinę i Szkołę“ z dodatkiem naukowym „Wiedza i Praca“ poleciła galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa
we Lwowie, reskryptem z dnia 22. marca 1904 l. 10. 299 do wszystkich bibliotek nauczycielskich szkolnych i okrę-
gowych w Galicyi a śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie reskryptem z dnia 22-go marca 1908 l. 2162 do
bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku oraz bukowskińska c. k. Rada szkolna krajowa
w Czerniawcach reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2. 162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół
polskich na Bukowinie.

Rodzinę i Szkołę z „Wiedzą i Pracą“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekar-
skiej i higienicznej we Lwowie w roku 1907 oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej
w Lublinie w roku 1908.

„Rodzina i Szkoła“ jest pismem szczerze polskiem i katolickiem.

Prenumerata „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ kosztuje rocznie 8 Mk., półrocznie 4,50 Mk. — Zeszyt
pojedynczy „Rodziny i Szkoły“ z „Wiedzą i Pracą“ 0,50 Mk.

Numera okazowe wysyła na żądanie otwartą pocztą i oplatnie oraz również przyjm. prenumeratę wprost
Administracya „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie (Galicya) ul. Szeptyckich l. 68 (Gmach Sokoła II-go.)

Prosimy żądać numerów okazowych kartą korespondencyjną, podając dokładnie adres (imię i nazwisko,
miejscowość i pocztę ostatnią.)

Roczniki z 1904, 1905, 1906, 1907 i 1908 są do nabycia w Administracyi „Rodziny i Szkoły“ we Lwowie
ul. Szeptyckich l. 68 po cenie: zbroszurowane 6 Mk., oprawne 7 Mk. (bez porta) za rocznik „Rodziny i Szkoły“
z rocznikiem „Wiedzy i Pracy“.

BALSAM aptekarza THIERRY'EGO

Nasładownictwo prawnie wzbronione.
Prawdziwy jedynie z zakonnica, jako marką ochronną.

Niezawodny środek przeciw wszelkim
chorobom piersi i płuc, leczy kaszel,
długie, chrypkę, zapalenie gardła, kur-
cze żołądka i wszelkie bole żołądkowe,
zapalenie wszystkich organów wewne-
rznych, brak apetytu, złe trawienie,
zatwardzenie; zewnątrz leczy wszel-
kie choroby ust, bóle zębów i oparzeliny,
larcie w kościach, wyrzuty, przede-
wszystkiem influenzy. 12 małych, lub
6 dużych podwójnych, albo jedna
wielka flaszka do podróży K. 5.

MAŚĆ CENTYFOLIOWA aptekarza
THIERRY'EGO

Jedynie prawdziwa, zadziwiająca, nie-
hybny i niezrównany środek przeciw
astarzalym nawet ranom wrzodom,
ranieniom, zapaleniu, chorobom nóg,
ropieniu, wyciąga wszelkie obce ciała
i usuwa ropnik, zapobiega bolesnym
operacyom. Dwie puszeki K. 3,60.

Zamówienia do Apteki pod Aniołem Stróżem
A. THIERRY w Pregrada koło Rohitsch. 11



Jan Ihnatowicz

poleca

BAY-RUM używa się ze znakomitym skutkiem do mycia
i utrzymania w czystości skóry na głowie.
Flakon 80 hal. i 1.60 kor.

KAPTOLINA przeciw wypadaniu włosów. Flakon 2 kor.
OLEJKI fiołkowy, rezedowy, jaśminowy, różany, mille-
fleurs. Flakon 1 kor.

POMADA LITEWSKA wpływa korzystnie na włosy,
posiada zapach przyjemny i nie jełczeje. Słoik 1 k

PUDR NA WŁOSY biały, do czyszczenia i pudrowania
włosów. Pudełko 60 hal.

PUDR POPIELATY I ŻÓŁTAWY do upiększenia wło-
sów. Pudełko 1 kor.

LWÓW — ul. Sykstuska 25 i ul. Hetmańska 6.

KRAKÓW — Sukiennice 20.

PRZEMYŚL — Mickiewicza 11.

TYGODNIK



ILUSTROWANY NARODOWY

Do naszych Czytelników!

Rozpoczynając w zeszłym roku wydawnictwo TTGODNIKA NARODOWEGO, Czytelnikom naszym nie obiecywaliśmy wiele, nie obiecywaliśmy ani premii, ani dodatków nadzwyczajnych, ani tzw. „złotych gór”. Rozpoczęliśmy skromnie, obiecywaliśmy jedynie *zdrową strawę duchową*, obiecywaliśmy jedynie stać na straży naszych *skarbów narodowych*.

I dziś po roku przeszło, na zbożnej strawionej pracy, gdy ogarniemy wzrokiem dotychczasowy okres naszej działalności, z dumą możemy powiedzieć, że od zakreślonego programu nie odstąpiliśmy ani na krok. Trudne były warunki naszych początków, trudne, jeżeli się zważy, że rozpoczęliśmy wydawnictwo tygodniowe pod względem rozmiarów, ilustracji i doboru treści u nas *najobfitsze*, w stosunku do ceny *najtańsze*.

Najżywszem naszym życzeniem było, aby TYGODNIK NARODOWY stał się nieodłącznym towarzyszem, przyjacielem każdej rodziny polskiej.

Wierni hasłu „BÓG I OJCZYZNA” szliśmy do rodzin polskich z wspomnieniem chwały dziejowej, z słowem pocieszenia i pokrzepienia w walce z złem, czyhającym u każdego proga. Z rodzin tworzy się Ojczyzna; jakie rodziny, taka Ojczyzna. Ideał więc dobrej rodziny polskiej był, jest i pozostanie ideałem naszym.

I z zadowoleniem stwierdzić możemy, że TYGODNIK nasz tak pojęty, dobrze został zrozumiany i dobrego na ogół doznał przyjęcia. Wszakże jeszcze nie takiego, jakiego pokonać mogło wszelkie trudności, połączone z kosztownem wielce wydawnictwem.

A trudności te u nas właśnie były olbrzymie. Wspomnieć tylko należy, że pragnąc ideały nasze jak najbardziej rozszerzyć, wydawaliśmy Tygodnik Narodowy w dwu wydaniach: jedno, uwzględniające w dziale politycznym przede wszystkim sprawy zaboru austriackiego, — drugie, uwzględniające głównie sprawy wielkopolskie. I rzecz znamienita, że właśnie w Wielkopolsce pismo nasze zdobyło sobie dziesiątki tysięcy abonentów, gdy tymczasem w Galicyi tym samym plonem poszczycić się niestety nie możemy.

Koszt takiego podwójnego, skombinowanego wydawnictwa jest niezmiernie wielki, możliwy

do pokrycia jedynie przy kilkonastotysięcznej liczbie abonentów każdego wydania. Zważywszy zaś, że u nas właśnie do tego jeszcze daleko, dalej zważywszy, że Tygodnik Narodowy kładzie główny nacisk na sprawy kulturalno-wychowawcze polskie, zważywszy wreszcie, że dział polityczny spraw bieżących w piśmie tygodniowym podrzędną tylko może odgrywać rolę, doszliśmy do przekonania, że dział polityczny, odnoszący się specjalnie do spraw galicyjskich, usunąć możemy spokojnie, bez faktycznej szkody dla pisma naszego. O sprawach bieżących galicyjskich informują się przecież Szan. Czytelnicy nasi bez wątpienia daleko szybciej z dzienników.

Stąd więc, zatrzymując i nadal pierwotny charakter Tygodnika Narodowego, jako pisma kulturalno-wychowawczego, ujednolicimy wydawnictwo nasze w ten sposób, że wydawać będziemy jeden Tyg. Nar. przeznaczony dla wszystkich dzielnic polskich, a w części politycznej uwzględniającej głównie sprawy Wielkopolski, o której szczegółowych zupełnie informacji w dziennikach nie znajdujemy. Drobną to na pozór zmiana (na pierwszych dwóch stronicach pisma) ułatwi nam z jednej strony wydawnictwo, usunie dotychczasową mimowolną, wynikającą z techniki pisma, nieaktualność w kwestyach krajowej polityki bieżącej, a z drugiej strony przyczyni się do wytworzenia szerszego i grutowniejszego poglądu na stosunki najstarszej części Polski, skazanej obecnie na wyjątkowe prawa pod rządami hakatystów teutońskich. Zmiana ta nie wyklucza wszakże, że w kwestyach wagi zasadniczej, dotyczących już to Galicyi, już też Królestwa Polskiego — zabierać będziemy stale głos w celu zadokumentowania naszego szczerze narodowego stanowiska.

To byłaby jedna zmiana. Druga dotyczyłaby dnia wydawania pisma. Zwyczajem przyjętem jest, że tygodnik nkażuje się zwykle na niedzielę. My niestety, w zwyczaju tym dokonać musimy wyłomu. Mianowicie, prawie że od początku istnienia Tyg. Nar. dochodzą nas, szczególnie ze stron dalszych (ze wschodniej części kraju, (Bukowiny i Cieszyńskiego), ustawiczne skargi, że Czytelnicy nasi otrzymują Tygodnik zamiast w niedzielę, ze znacznym, bo dwu i trzydniowym opóźnieniem. Wina to oczywiście nie nasza, ale tej „siły wyższej”... poczty. Ten powtarzający się niemal co tydzień mankament, postanowiliśmy usunąć raz na zawsze, posuwając datę wydawania Tygodnika

na środę. W ten sposób Czytelnicy nasi otrzymywać będą Tygodnik zawsze przed niedzielą, czyli że będą mieli gotową lekturę na niedzielę nawet na wypadek opóźnienia z winy poczty.

Wprowadzając w życie powyższe zmiany już w następnym zeszycie, wyrażamy jeszcze raz nadzieję, że zwolennicy nasi dotychczasowi pracować będą nadal nad powiększeniem szeregów Czytelników „TYGODNIKA NARODOWEGO“, pisma szczerze narodowego, prawdziwego przyjaciela rodziny polskiej. Z tą nadzieją rozpoczynamy nowy okres naszej żmudnej pracy, która oby myśli polskiej jak największy dała plon.

Redakcja.

Sejmik oświatowy T. S. L.

W ub. niedzielę odbył się we Lwowie doroczny zjazd Kół T. S. L. należących do okręgowego Związku lwowskiego. Przedłożone Zjazdowi sprawozdanie za rok ubiegły wykazuje następujący obraz jednorocznej działalności:

Terenem pracy Związku jest Lwów i 16 powiatów politycznych z polską ludnością półtora miliona, co stanowi w ogólnej liczbie ludności 31 proc. Polaków w tej połaci naszego kraju wobec 64 i pół procent ludności ruskiej. Szkół polskich było 29 proc., ruskich 70 proc. Nowych Kół powstało w okresie sprawozdawczym 12; przysporzyły one T. S. L. 1112 członków, 2 kursy analfabetów, 9 czytelni z 867 książkami, 57 odczytów, 17 obchodów narodowych, 2 teatry włościańskie i 3819 K. dochodu, a 2671 K. rozchodu. Wszystkich Kół jest w lwowskim okręgu 61 w 41 miastach, 2 przedmieściach Lwowskich i 4 wsiach. Do Kół tych należy 8968 członków z tego w samym Lwowie 3.681. Członkowie ci pochodzą ze wszystkich sfer społeczeństwa.

Dziełem Zarządów lwowskiego Związku jest założona jeszcze w r. 1900, a w r. 1910 przeniesiona do wspianiałego, nowego gmachu przy ul. Zielonej własna *Bursa Grunwaldzka*. Mieści ona 130 wychowanków. Ogółem jest 82 proc. wychowanków synami włościan, 13 proc. synami służby, 5 proc. innych. Aby wciągnąć wychowanków bursy do pracy społecznej, stworzono w bursie dwie odrębne „gminy bursowe“ na wzór „city school“ z zupełnym samorządem, kasą oszczędności i kramem. Instytucje te rozwijają się bardzo poważnie. — Nadto prowadzi się dla wychowanków bursy kurs introligatorstwa i słoju; wychowankowie zaś oddziału przemysłowego bursy Grunwaldzkiej za rok 1910 przedstawia w rozchodach kwotę 43 615 K. dochody wyrównała do tej sumy Kasa Związku okręgowego kwotę 25 029 K. *Księgozbiór* Związku liczy 10 845 dzieł w 19,932 tomach.

Sprawozdanie kasowe Związku lwowskiego okręgu za rok 1910 wykazuje 247 350,72 K. w przychodach i rozchodach. Nadmienić warto, że codzienna, puszkowa kwesta po publicznych lokalach Lwowa przyniosła pokaźną sumę 11 162,24 K.

Na Zjazd Związku lwowskiego przybył z Krakowa prezes naczelnego Zarządu T. S. L. poseł Dr. Bandrowski i członek Zarządu, adw. Dr. Gertler.

Obrady zagał prezes okręgowego Związku lwowskiego poseł Dr. Ernest Adam. — Wspominał o jednej z wielkich prac ostatnich, a to o Bursie Grunwaldzkiej; następnie podniósł coraz więcej okazującą się niezbędną potrzebę założenia we Lwowie „*Domu Oświatowego*“, któryby pomieścił wszystkie agendy lwowskich Kół T. S. L. Na ten ważny cel ofiarował już człowiek pragnący utrzymać swe nazwisko w tajemnicy sumę 10000 K.

Następnie rozpoczęły się obrady komisyjne. Wyniki *ankiety w sprawie czytelni* przedstawił referent prof. S. Srokowski (Tarnopol). Mówił o technice pracy oświatowej w czytelniach wiejskich. Stanowią one punkt zwrotny, często nową epokę dla wsi, gdzie powstają. Przesadne są narzekania co do tego, jakoby czytelnie te nie dość raźnie spełniały swe zadanie. Czytelni należy zakładać w początkach dużo, a następnie pracę pogłębiać. Kierownikami czytelni powinni być przede wszystkim sami włościanie.

Prelegentów i nauczycieli wędrownych należy często zmieniać, a w prelekcjach należy przede wszystkim kłaść nacisk na jasność i przystępność ich stylu i skrócenie ich trwania, przeciągającego się dziś często nawet na kilka godzin.

Co do pomieszczenia zaś czytelni, to należy je lokować w domach średnio zamożnych wieśniaków, aby ściągały i biedniejszych i zamożniejszych. Dalszym środkiem oświatowym muszą tu być umieszczane po czytelniach obrazy wybitnych osobistości narodu i ważnych wypadków historycznych, aby usunąć rozmaitych Bismarcków, Raddeckich i Aleksandrów. Należy dalej zakładać biura porady prawnej dla włościan, urządzać od czasu do czasu wspólne wycieczki itp.

Nad temi kwestyami rozwinęła się ożywiona dyskusja, której wynikiem był szereg postawionych wniosków. Uchwalono propagować ideę wstrzemięźliwości, jakoteż prenumerować pisma abstynenckie (wnioskodawca p. Gedroyć) i usuwać alkohol z zebrań i wycieczek w zakresie działalności T. S. L., wreszcie rozwinąć jak najenergiczniejszą akcję w kierunku szerzenia idei *teatrów włościańskich*.

Z kolei przystąpiono do wyboru nowego zarządu na rok 1911, które dały następujący rezultat:

Przewodniczący Dr. Ernest Adam, zastępcy przewodniczącego Dr. Waleryan Serbeński i Kazimierz Bogdanowicz, sekretarzami Dr. Helena Polackówna i Felicyan Skórski, skarbnik Dr. Izidor Schenker, zast. skarb. Kajetan Golczewski.

Wydziałowi: Marya Argasińska, Jan Dąbski, Maurycy Jaroszyński, Jadwiga Próchnicka, Marceli Prószyński, Ludwik Skoczylas, Zygmunt Smulikowski, Tadeusz Uhma, Władysław Wojtowicz i Tadeusz Zajączkowski.



Uczmy się oszczędzać.

W dążeniach naszych do lepszej przyszłości dużą, niewątpliwie, rolę odgrywać będzie stopień doskonałości duchowej możliwie jak najszerzych warstw społecznych, czyli oświata i moralność narodu. Lecz do skutecznego współzawodnictwa nie może nam wystarczać tylko siła wyższości duchowej, gdyż walki ludów tymczasem nie na tem się opierają. Drugą, nieodzowną potrzebą jest bogactwo narodu, umiejętnie wyzyskiwane dla głębszych celów.

W ogólności biorąc, jesteśmy ubodzy pod każdym względem. Pracą ciężką, planową, a rozumną, możemy poprawić nasze położenie, pomimo napotykaných przeszkód na każdym kroku. Potrzebę oświaty wszyscy pojmują należycie i choć nie wiele, w stosunku do potrzeb, robi się w tym kierunku, jednak sprawa posuwa się naprzód. Co się zaś tyczy gromadzenia bogactwa narodowego, postęp idzie trudniej. Wielki przemysł i duże przedsiębiorstwa znajdują się wyłącznie prawie w obcych rękach, wrogich nam.

Ale wiemy, że przemysł, nawet wielki, zdolne są tworzyć warstwy najmniej zamożne. Droga zrzeszeń, drobnych a licznych udziałów, inne społeczeństwa doszły do świetnego materialnego stanu. Jest to sposób wypróbowany i jakby żywy przykład dla nas.

Trzeba tylko, aby sfery rzemieślniczo-robotnicze i włościańskie zrozumiały doniosłość tej sprawy i wzięły się za rękę.

Niski poziom oświaty stoi temu na przeszkodzie, ale wierzymy, zmienić się na lepsze musi. Zanim zapanuje szerszy ruch w tym kierunku, trzeba najprzód podnieść zamożność przyszłych filarów przemysłu naszego, ażeby byli w możności przystąpić do czynu. Ale powiecie, skąd ma brać przeciętny pracownik na udział, kiedy ledwie koniec z końcem zwiąże, często nawet zapożyczając się? Chcąc określić ten stan, nie można uogólniać zdania: „nie wystarcza!“

Pewien procent da się tem wytłomaczyć, nie jest on zbyt znaczny. Brak nie oznacza bynajmniej szczupłości środków rozporządzalnych, wiemy to dobrze. Jeżeli większość narzeka na brak, to tylko wskutek tego, że nie „mierzy zamiarów według sił“. Żyje nad stan, za-

nadto hołdując powierzchowności i — żołądkowi.

Spółczeństwo nasze tak jest zbolełe, że odradzając się, musi leczyć się w każdym kierunku. Uznając więc konieczność podniesienia zamożności kraju przez uprzemysłowienie go i przy pomocy tych szczerých synów, którzy w niejednej potrzebie dali dowód swej obywatelskości, musimy uczyć się oszczędzać. To jedyna droga do zamożności, do bogactwa. Widzimy na nielicznych przykładach, że oszczędny człowiek pojedynczy, czy też cała rodzina, dochodzą do względnej zamożności, aczkolwiek środki ich nie są większe, a wydatki często znaczniejsze, niż tych, co stale na brak narzekają. Nie trudno będzie odkryć przyczynę tego. Porównanie życia takich osobników wyjaśni zagadkę. Oszczędność jest rzeczą wielkiej wagi, potężnym czynnikiem w życiu tak jednostek, jako i większych zbiorów ludzkich, ale nie powinna być przesadną, (co się często trafia), a więc musi być rozumną. Sknerstwo pozwala wprowadzić szybko dochodzić do zamożności czy bogactwa, ale dzieje się to kosztem obniżenia poziomu umysłowego tychże osób. Opanowani jedną myślą bogacenia się, zapominają o potrzebach duszy, a nawet ciała pod względem higieny i wymagań kulturalnych, a już o podnoszeniu ogólnego dobra zgoła wiedzieć nie chcą. To wytwarza typ samolubny, ze wszechmiar niepożądany, nawet szkodliwy. Oszczędzić na pokarmie i ubraniu, bez szkody dla zdrowia, na różnego rodzaju przyjemnościach zmysłowo-znikomych, to rzecz wskazana, ale żałować na gazetę, książkę, cel narodowy składkę członkowską jakiegoś kulturalnego Towarzystwa, wycieczki krajoznawcze, bliższe i dalsze, to występki narodowy.

Powiedziano wyżej, że musimy uczyć się oszczędzać. To nie jest pusty frazes, lecz konieczna potrzeba, wynikająca z ujemnych stron naszego niewyrobionego charakteru. Jeżeli zbywa nam na woli, tym najważniejszym czynnikiem właściwego sposobu życia ludzkiego, a który nabywa się pracą nad sobą i rozmyślaniem nad rzetelnością bytu człowieka, t. j. gdy nie możemy powiedzieć sobie, że z tej wypłaty czy pensji mogłoby pozostać nam tyle a tyle złotych, odkładamy więc je zgóry i są one nienaruszalne. Musimy użyć sposobu, aby oddalić kuszenia i nie doprowadzać do łamania postanowień.

Sposobem tym są domowe skarbonki oszczędnościowe, wydawane przez stowarzyszenia pożyczkowo-oszczędnościowe, kredytowe, większe instytucje finansowe.

W Poznańskim wydaje Bank Przemysłowców od pewnego czasu owe skarbonki, w Galicyi mają one już szerokie zastosowanie, najsmutniej pod tym względem wygląda Królestwo.

Zadaniem owych skarbonek jest, aby wszelki zbywający, lub rozmyślnie zaoszczędzony grosz wpływał do ich wnętrza. Po pewnym czasie skarbonkę zanoszą do kasy, tam otwierają ją, liczą zawartość w obecności właściciela i następnie wpisują do książeczki oszczędnościowej. W ten sposób dochodzi się powoli do pewnych funduszy, które można używać czy to na osobiste potrzeby, godziwe lub konieczne, czy też na popieranie działań ogólnego pożytku, zarazem przytem korzystając z powiększania wniesionej kwoty. Bo chociaż nasze Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe przyjmują wkładki od 1 mk., ale w praktyce takie drobne sumki nie bywają wnoszone zapewne nigdy, czego zresztą wymagać nawet trudno. Marnują się więc groszaki, gdyż nie zwykliśmy przywiązywać do nich większej wagi, a tymczasem przysłowie mówi: „ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka“. Miarką taką w każdym domu polskim powinna być skarbonka. Niech składają dorośli i dzieci, każdy na swój rachunek, by każdy z osobna cieszył się wynikiem i dumnym był — słusznie!



Hejnał.

*Na dział! Na dział!
Na ornej ziemi dział!...
Tam wieść nam pług słonecznych dróg,
Tam płacić wielki Ojców dług,
Dziedzice klęsk i chwał!*

*A nasza klęska — to tych pól
Zamierzchła noc, zastygły ból...
A nasza chwała — życie, ruch,
A nasze hasło — duch!*

*Na łan! Na łan!
Na ornej ziemi łan!
Tam ducha wiew, tam światła siew,
Tam pot nasz, tam i nasza krew,
Tam tryumf jest nam dan!*

*A tryumf nasz — to znój i trud,
To zbudzon brat, to zbudzon lud,
To żywot — wielkiej służbie dan...
Na łan! Na łan! Na łan!*

Marya Konopnicka.



Dżuma była, jest, będzie...

Do takiego wniosku dochodzi prof. Skorichenko w Birżewych Wiedom. w artykule p. t. „Dżuma w Chinach i Japonii“.

Prof. Skorichenko stwierdza na wstępie, że Azja południowa jest kolebką dżumy od niepamiętnych już czasów. Z górą tysiąc lat temu mieszkańcy Babilonu modlili się do dżumy, aby ich ominęła. Jak w Mezopotamii, tak też oddawna znana jest dżuma w Indyach; gnieździ się ona na północnym stoku gór Himalajskich, od czasu do czasu zaś wstępuje w niziny, obejmuje cały Indystan i kraje sąsiednie: Afganistan, Birman i inne. Co się tyczy Chin, to już pierwsi podróżnicy, zwiedzający te strony, w notatkach swych wspominali często o strasznych epidemiach dżumy.

We wszystkich tych miejscowościach dżuma istnieje stale; bywa, iż na moment słabnie, zapominają o niej mieszkańcy, lecz po krótkim czasie dżuma znów przekonywuje ich o swem istnieniu. Współczesna epidemia dżumy, zdaniem prof. Skorichenki, nie jest niczem nowem, świadczy ona tylko, iż siła jej wzmogła się znacznie, zagrażając już dziś nie tylko Rosyi i Europie ale całemu światu.

Rozrostowi epidemii sprzyja w pierwszym rzędzie system polityczny, stosowany przez Chiny. Chcąc uchronić się od dokonywanych dotychczas pokojowych zaborów, pragną one zabezpieczyć swe północne granice drogą kolonizacji. Następstwa tej polityki nie dały długo na siebie oczekiwać. W najbliższych pustkowiach Mandżuryi zjawiają się koloniści. Tysiące ich zajmuje się karczowaniem lasów i uprawą ziemi. Kraj oczywiście ożywił



Przysięga Zbyszka (w powieści Sienkiewicza „Krzyżacy“).

się znacznie, lecz nowi osiedleńcy znajdują się w bardzo ciężkich warunkach bytu. Przypędzeni z gór dalekich, zmuszeni są przywykać dopiero do odmiennego klimatu, a przytem nędza, w jakiej żyją i jej następstwo — głód, wywołują wśród nich częste i różnorodne choroby. Należało oczekiwać również dżumy; można się było spodziewać, iż skoro się zjawi, charakter tej epidemii będzie bardzo ostry.

Tak się też stało. Żyjąca w biedzie i dziś już mocno zgęszczona, nie mająca pojęcia o jakichkolwiek zasadach higieny ludność, stała się dla dżumy żerem obfitym. Każdy, kto tylko dotknięty zostanie zarazą umiera, a żywi ratują się ucieczką, roznosząc zarazę coraz dalej i dalej.

Położenie jest tym gorsze, że o prawidłowej walce z dżumą w państwie niebieskim nie może być mowy. Rząd chiński nie wie jak ma się przeciw zarazie bronić i nie posiada nawet odpowiednich wykonawców swej woli. Wszystko zatem zależy od bogów: oni zesłali nieszczęście, oni też, jak się im spodoba, klęskę usuną: obowiązkiem śmiertelnych jest — cierpliwość.

Gdyby nawet rząd chiński zechciał przedsięwziąć środki zaradcze, wskazane przez długoletnie doświadczenie i naukę, spotkałby się wówczas z przeciwdziałaniem ludności. Lud chiński hołduje pewnym obyczajom, których za żadne skarby świata nie zmieni. Żyje on przede wszystkim w brudzie, wskutek nędzy odżywia się nadzwyczaj lichy. Według orzeczeń badaczy rosyjskich Chińczyk, w czasie nieurodzajów, spożywa wszystko co wpadnie mu w oko, a więc robaka, dżdżownicę, nawet wydzielinę ludzką... To też tyfus, biegunka, ospa, suchoty i inne zaraźliwe choroby są naturalnem jedynie następstwem takiego życia.

Takie warunki specjalnie sprzyjają rozwojowi dżumy. A są i inne. Oto zwyczaj chiński zabrania chować nieboszczyka zaraz po śmierci, należy go trzymać w mieszkaniu, wśród żyjących jaknajdłużej: kilka miesięcy, rok wreszcie. Po odniesieniu zmarłego na cmentarz i zakopaniu go w lotnych piaskach, wicher częstokroć obnaża trupa. Wskutek tego cmentarze chińskie przepełnione są gnijącymi na powierzchni ziemi trupami, szerzącymi chorobotwórcze zarazki.

Chińczyk jest przytem troskliwym i zabiegliwym rolnikiem. Stara się on w miarę możliwości swe grunta użyźnić. W tym celu na drzwiach swej chaty wywiesza prośbę piśmienną do przechodniów o pozostawienie w bliskości wydzielin żołądka, stanowiących tak pożądany dla Chińczyka nawóz.

Znajomość powyższych warunków życia rodzin chińskich skłania prof. Skirczenkę do postawienia tej właśnie hipotezy, iż dżuma była w Chinach, jest i... będzie.



NAPOLEON I.

Po długich i ciężkich okresach niewoli ludu, a niesłychanego zbytku, rozpusty i ciemnienia ze strony magnatów francuskich, wybuchła we Francji straszna burza wielkiej rewolucji (w r. 1789), która zdruzgotała jarzmo poddaństwa, zniosła wszelkie przywileje i tytuły szlachty francuskiej, przynosząc z sobą powszechną wolność i równość. Zginęło wtedy tysiące ludzi i to nie tylko ciemniaków ale częstokroć zupełnie niewinnych. Tłumy bowiem tak długo ciemnione nie znały miary w krwawej zemście. Zginął wtedy także król Francji, Ludwik wraz z żoną. Wskutek tego, zwłaszcza wskutek zabicia królowej, rodem z dworu austriackiego, wypowiedziały Francji wojnę państwa sąsiednie: Austrya, Prusy, Anglia i Rosya. Naród francuski walczył bohatersko i szczęśliwie ze wszystkimi najeźdźcami, ale kto wie, czyby się zdołał długo opierać połączonym siłom wrogów, gdyby się nie był zjawił wśród niego człowiek nadzwyczajnych zdolności i szalonej energii i wytrwałości.

Był nim *Napoleon Bonaparte*, syn adwokata Karola, urodzony w r. 1769 w mieście Ajaccio na wyspie Korsyce. Po ukończeniu szkoły wojskowej, Napoleon, jako ośmnastoletni młodzieniec został oficerem artylerji. W kilka lat potem, (w r. 1793) przy zdobywaniu twierdzy nadmorskiej Tulonu, będącej w ręku Anglików, okazał tyle zdolności i bystrości umysłu, iż zamianowano generałem i wysłano do Włoch jako naczelnego wodza w walce z Austryą. Tu już w kilku tygodniach uporał się młody wódz z Austryakami i opanował całe prawie północne Włochy.

W tym czasie los dziwnie złączył Polskę z Napoleonem, tym „bogiem wojny”, w którym Polacy tak wielkie pokładali nadzieje. W tym czasie imię Napoleona złączyło się z Polską w łańcuch nierozzerwalny. Oto kiedy we Włoszech walczył Napoleon, w Polsce upadło Powstanie Kościuszkowskie i nastąpił trzeci rozbiór Polski. Mężowie gorąco miłujący Ojczyznę zaczęli przemysliwać nad tym, jakby wypędzić zaborców z ziemi naszej. Republika francuska prowadziła wtedy walkę o wolność, więc też i Polacy postanowili przyłączyć się do tej walki w tej nadziei, iż pułki

polskie, na obcej utworzone ziemi, będą mogły kiedyś wrócić do Polski, by rozpocząć skuteczną walkę z zaborcami. Jeden z dowódców Powstania Kościuszkowskiego począł tedy czynić odpowiednie starania, uwieńczone tym skutkiem, że rząd francuski pozwolił na tworzenie polskich oddziałów pod polskimi dowódcami na ziemi włoskiej, gdzie właśnie walczył Bonaparte.

Wieść o tem przyjęto w Polsce z prawdziwą radością. I niebawem przeszło 15 000 wiarusów stanęło we Włoszech pod bronią, a serca ich ogrzewała wiara niezachwiana, że trudy i krew przełana w walce o wolność obcego narodu, przyniesie wolność i niepodległość Polsce. Pułki polskie nazwano z włoska *Legionami*. Dzielność i bohaterstwo ich rozniosły sławę imienia polskiego po całym świecie. Wszędzie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, gdzie zwycięstwo było prawie niepodobnym, gdzie trzeba było nadludzkiej odwagi — szły legiony polskie i zwyciężały z pieśnią na ustach: „Jeszcze Polska...” i „Marsz marsz Dąbrowski...” Napoleon, jako naczelnny wódz armji francusko polskiej, podziwiał iście lwią odwagę Polaków, co zaznaczał przy każdej sposobności, twierdząc, że „tam, gdzie Polacy nie zwyciężą, tam i choćby całe piekło nie poradzi.”

Ale wracamy do Napoleona. Oto on, syn adwokata, w r. 1804 ogłosił się cesarzem Francuzów.

A w 2 lata później jak grom uderzył pod Jeną na Prusaków i rozbił ich do szczytu. W kilka dni zajął stolicę Prus — Berlin, poczem już dalsze twierdze pruskie, pod wpływem niezmiernego strachu, poddawały mu się bez walki. Nowa otucha wstąpiła w serca Polaków.

Z polecenia Napoleona Dąbrowski wydał do narodu odezwę, na skutek której tysiące młodzieży polskiej pospieszyły pod sztandary ojczyste, a Francuzów witano jako zbawców. Prusacy już na samą wieść, że Francuzi się zbliżają, opuścili chylkiem Warszawę. Napoleon, wsparty pułkami polskimi, wyruszył wkrótce naprzeciw Moskali, którzy pospieszyli na pomoc Prusakom. Wojska polsko-francuskie stoczyły trzy zwycięskie bitwy, czego następstwem był pokój w Tylży, zawarty 7 lipca 1807 r. między Francją z jednej, a Rosją i Prusami z drugiej strony. W pokoju tym Napoleon utworzył z ziem zaboru pruskiego *Księstwo Warszawskie*, którego księciem mianował króla saskiego, Fryderyka Augusta, wnuka Augusta II.

Tymczasem Austrya wydała znowu wojnę Napoleonowi (w r. 1809), wysyłając równocześnie i do Księstwa Warszawskiego 50 tysięcy żołnierza. Ale i tu nie opuszczała Napoleona jego dobra gwiazda. Po licznych walkach, w których zwłaszcza odznaczył się nasz książę Józef Poniatowski, Napoleon rozbił w puch armję austriacką pod Wagram (5 i 6 lipca 1809). Poczem zawarto pokój w Wiedniu, mocą którego Austrya musiała oddać Księstwu Warszawskiemu około 1000 mil. kwadratów, z ludnością blisko półtora miliona, tj. to wszystko, co zagrabiła przy trzecim rozbiórze Polski.



Napoleon w stroju koronacyjnym.

Po tem zwycięstwie drżała przed Napoleonem już cała niemal Europa. Pobił on wszystkie państwa; pozostały tylko jeszcze Rosya i Anglia. Ufny swą dobrą gwiazdą, Napoleon wypowiedział wojnę Rosyi. Aby siłę swojej armii jak najbardziej wzmocnić, wezwał cały naród polski pod broń, w zamian za co obiecał odbudować całą Polskę od morza do morza. Na wezwanie to zaciągnęło się pod sztandary Napoleona przeszło 60 tysięcy żołnierza. Cały naród wierzył, że Napoleona nikt nie pokona.

Ale, niestety, w wojnie z Rosją zagasnąć miała jego gwiazda. Bo oto naprzeciw temu niezwyciężonemu wystąpiła, jakby w przymierzu z Moskalami, niezwykle ostra tego roku (1812) zima, tak, że wyprawa Napoleona do Rosji zakończyła się klęską dla niego. Za tą klęską pogoniła niebawem druga, mianowicie w nowej walce ze sprzymierzonymi jego wrogami: Austrią, Prusami i Rosją (w październiku 1813 pod Lipskiem). Wtedy to w nurtach rzeki Elstery zginął jeden z najlepszych naszych wodzów, ks. Józef Poniatowski.

Z pod Lipska podążyły zjednoczone armie Austrii, Rosji i Prus aż pod Paryż, gdzie zmusili Napoleona do złożenia korony cesarskiej i do zamieszkania na małej wyspce Elbie, na morzu Śródziemnym. Dla wojska polskiego wyjednał wtedy Napoleon powrót do Ojczyzny z bronią w rękę.

Ale Napoleon umknął niebawem z Elby i począł, przez naród francuski radośnie witany, gromadzić nowe wojska. Ale i tym razem w walnej bitwie pod Waterloo (18 lipca 1815) Prusacy w połączeniu z Anglikami zwyciężyli Napoleona i wywieźli na skalistą wyspę św. Heleny, położoną wśród Oceanu Atlantyckiego i tam go pilnie strzegli aż do końca życia. Umarł Napoleon na onej wyspie w r. 1821.

Nie wyczerpaliliśmy w opowiadaniu niniejszem wszystkiego, co działał Napoleon. Szczęśliwa gwiazda przyświecała mu niestety tylko do czasu. Gdyby nie była tak przedwcześnie zagasła, kto wie jakby dzisiaj w Europie wyglądało? Napewno na ziemi naszej byłoby... inaczej.

Cz. Płomieńczyk.

Zalotność - flirt - bałamuctwo.

Trzy te pojęcia, tak sobie pokrewne, są niejako wstępem do miłości, żadne z nich jednak miłością nie jest. Ludzie byli zalotni, flirtowali i bałamucili się nawzajem, póki świat światem, a zawsze przecież jest to coś nowego i dla biorących w tem udział niezmiernie zajmującego.

Że Francuzi, a raczej Francuski mają zalotność czyli kokieteryę, to nie dziwnego — wszakże Francuskom przypisują wszyscy zalotność i chęć a raczej umiejętność podo-

bania się, lecz że sztywni a zimni Anglicy mają flirt, ów poemat wdzięku i miłości, to rzeczywiście bardzo jest dziwnem. Słowo to jest wyłącznie angielskie i na żaden nie da się przetłumaczyć język — flirt jest — flirt! My Polacy zaś mamy bałamuctwo, i tego bowiem na obce języki przetłumaczyć nie można, nie jest to ani niemieckie „betoeren“, ani francuskie „tromper“, ani angielski flirt.

Te trzy pojęcia możnaby nazwać coraz wyższymi stopniami uczucia, zbliżonego cokolwiek do miłości — zaczynającego się może westchnieniem, a kończącego się czasem miłością.

Wszystko zaś zaczyna się zalotnością. Co to jest zalotność?

Jest to chęć podobania się komuś i chęć zwrócenia planów i zamiarów. Zalotność, to uczucie chwilowe, przemijające i skierowane dziś do tej, jutro do innej osoby. Kokietować można spojrzeniem, piękną, białą ręką, uśmiechem, słowem nie tylko wszystkimi, jakie kto posiada, zaletami, ale nawet i wadami, trzeba się tylko umieć zręcznie zabrać do tego. Pod względem zalotności stoją kobiety o wiele wyżej od mężczyzn.

Gdy zalotność cel osiągnęła, wtedy zaczyna się zwolna wytwarzać flirt.

Co jest ładniejsze, czy słowo samo, czy to, co słowo określa! Flirtować! Jak mile brzmi kilka liter, ile uroczej tajemnicy, ile niewypowiedzianych myśli i marzeń zawierają one! Słowo samo oznacza już coś błyszczącego, jasnego, mieniącego się tysiącem barw cudnych — lecz zarazem coś ulotnego i niepochwytanego. Flirt zachwyca i zajmuje dwie osoby tak, że już o niczem innem jak tylko o sobie nawzajem myślą i marzą, ale flirt mija szybko i zostawia po sobie czasem miłe, czasem bolesne wspomnienie. Czasem zaczyna się flirt śmiechem, a kończy się łzami!

Co to jest flirt?

Jest to coś poważnego, co się traktuje jako żart, który traktuje się poważnie. On i ona nie wierzą w to, co mówią, lecz oboje słuchają chętnie tego, co mówią i mają sobie zawsze coś niezmiernie zajmującego do opowiadania. On i ona spotykają się zawsze i wszędzie — przypadkiem — tak przynajmniej sami twierdzą i dlatego trzeba im wierzyć. On i ona rozstawają się z żalem, tęsknią za sobą tydzień lub dwa i nowy rozpoczynają flirt.



MIŁOSIERDZIE.

Najwięcej zbliżonem do miłości, lecz i zarazem największem jej nadużyciem jest nasze polskie niestety bałamuctwo.

Kto jest bałamutem?

„Człowiek zawadny, nierzetelny, którego słowo wiatr.“

„Bałamut przynajmniej dziesięciu kobietom dał słowo, a żadnej go nie dotrzymał.“

Bałamut wszelkich używa sposobów, aby zawrócić głowę kobiecie, a gdy cel osiągnięty, idzie spokojnie dalej, szuka nowej ofiary i postępuje zupełnie tak samo.

Słowo „bałamut“ pochodzi od „mącić“, a więc starać się o to, aby się komuś w głowie pomąciło. I pomąci się też w niej jednej ładnej główce tak, że nawet i serce jest w niebezpieczeństwie i z całą ufnością

oddaje się człowiekowi, który jej na seryo wcale nie pragnie, i który słodkie słówka szepce jedynie dla zabawy i dla zabicia czasu. Są też naturalnie i bałamutki, które nabawiwszy się sercami mężczyzn, odrzucają je jak znoszoną rękawiczkę, lecz o wiele więcej jest zawiedzionych w uczuciach kobiet, niż mężczyzn. W każdym razie zostawia bałamuctwo dla jednej strony zawsze przykre i smutne wspomnienie, którego możnaby uniknąć, gdyby serce nie wierzyło tak chętnie w to, czego pragnie!

Lepiej być głuchą na wszelkie zakłęcia i przyrzeczenia — jedna chwila szczęścia nie odkupi późniejszego rozczarowania i gorzkich łez.

„Nie ufaj nigdy bałamuta słowom,
Co miłość przysięga wszystkim białogłowom“.

Obrazki ze świata.



† Ks. bisk. Herman Dingelstad.

Tydzień przeszło minął, jak w Monasterze złożono do grobu ciało 76-letniego starca, który do ostatnich niemal chwil sprawował urząd biskupa monasterskiego. Ks. bisk. Herman Dingelstad zmarł po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie, podczas której poddać się musiał niebezpiecznej operacji.

Pogrzeb biskupa odbył się z wielką okazałością przy współudziale księcia kardynała Koppa z Wrocławia, arcybiskupa kolońskiego Fischera, biskupów z Trewiru, Fuldy i Osnabrücku. Tłumy publiczności, które oddały ostatnią przysługę swemu pasterzowi, dały świadectwo, że był on dla nich dobrym opiekunem.

Stany Zjednoczone Półn. Ameryki a Meksyk.

W Meksyku, tym kraju o prastarej kulturze, zniszczonej częściowo przez zaborczość Hiszpan, wre od dawna zacięta walka bratobójcza. Jak wiadomo, jest Meksyk republiką, a na czele tej republiki stoi od lat kilkunastu pełen zasług prezydent, *Porfirio Diaz*. Właśnie fakt, że za długo dzierży on ster spraw meksykańskich,

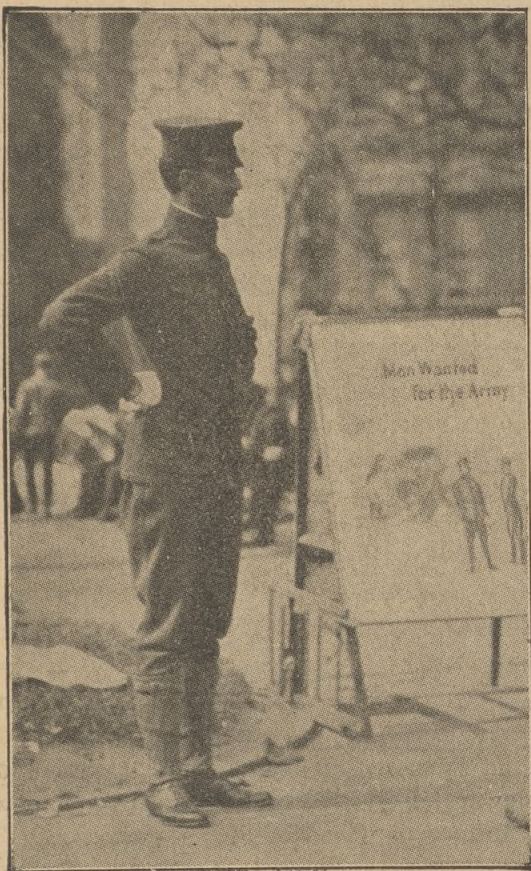
obawa, aby dla swych potomków nie stworzył dynastji dziedzicznej, były poniekąd powodem zbrojnego powstania, rewolucji przeciw rządowi starego dziś już, lecz będącego jeszcze w pełni energii Diaza. Walka podjazdowa trwa już od roku, a prawowity rząd meksykański twierdzi nie bez słuszności, że byłby już dawno stłumił rewolucję, gdyby nie pomoc, jaką powstańcy otrzymują z Ameryki. Faktycznie przyszło już niejednokrotnie do dość ostrej wymiany not dyplomatycznych pomiędzy obu państwami.

W ostatnich dniach wywołała w całym świecie politycznym wielkie obawy wiadomość, że Stany Zjednoczone *mobilizują swą armię*, gromadząc ją w stanie, najdalej na południe wysuniętym, w Teksas, blisko granicy meksykańskiej. Naturalnie panowało powszechne przekonanie, że wojska amerykańskie wkroczą do Meksyku, a takie wkroczenie ze strony Ameryki kończy się po części zaborem. Tak było np. z Kubą. Nie chciano z początku wierzyć uspajającym wiadomościom, że Ameryka zamierza jedynie wykazać swą gotowość wojenną, o której ktoś gdzieś śmiał podobno powątpiewać. I jeszcze dziś — mimo zapewnień prezydenta Diaza z jednej, a prezydenta Tafta z drugiej strony, że przyjaźń pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem w niczem nie została naruszona. — Anglia np. obawia się, że nie wszystko jest na tamtej półkuli w porządku.

Do tego opisu dołączamy dwa obrazki. Pierwszy przedstawia meksykański *gaj kaktusowy*.



Meksyk to właściwa ojczyzna kaktusów, które tam tworzą całe lasy. Rośliny te osiągnęły w swej ojczyźnie wysokość czasami 8 metrów i więcej.



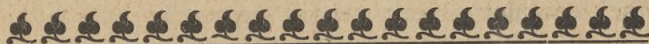
Drugi obrazek dotyczy stosunków wojskowych w Ameryce. Wolny ten kraj nie posiada przymusu wojskowego, a armia składa się jedynie z samych ochotników. Ochotników tych „werbują” żołnierze, ukazujący się często na ulicach Nowego Jorku i innych miast; zamiar jego uwidoczniają plakaty z napisem „*Man wanted for the army*” — werbuje się ochotników dla armii.

Awantury w teatrze.

Do niebywałych wprost skandali doszło w ostatnich dniach w paryskim Theatre Français podczas przedstawienia nowej sztuki „*Après moi*”. Grę aktorów przerywano co chwila, a policja wprowadzała jednego hałaśnika po drugim. Ale dziwić się tym awantom nie można, zważywszy, że chciano w ten sposób zaprotestować przeciw przemożnemu we Francji żydostwu. Autor sztuki, żyd Henry Bernstein, którego wizerunek podajemy, w kilku miejscach swej sztuki podkreślił znaczenie żydostwa. Ostatecznie dalsze wystawienie sztuki stało się niemożliwym, a autor musiał ją wycofać z repertoaru.



Byłoby dobrze, gdyby sprawa ta była początkiem końca panowania żydostwa — nie tylko we Francji, ale i u nas w Królestwie i Galicyi.



Półw śledzi.

W Kristianssund w Norwegii.

Jeszcze szary brzask grudniowy nie zdążył dotknąć domostw ludzkich, kiedy żółtawa luna ukazała się na niebie. Szła od grupy łodzi rybackich, które już tak wcześnie wyruszają na półw, oświetlając sobie drogę. Wiatr ucichł, zapowiada się pogoda. Przezroczyste powietrze pozwala spostrzegać w oddali cudne, śnieżne wierzchołki gór. Łodzie prześlizgują się powoli w porcie, wymijając się zręcznie w ciemności. Po jakimś czasie wszczynają się ruchy... przed szóstą, błyszczą już światełka w porcie, a głosy ludzkie dochodzą z paruset statków. Niektóre łodzie nie skończyły jeszcze wyrzucania śledzi z sieci, na innych ludzie pozwolili sobie na godzinną drzemkę. Nie sypia się dużo podczas tych dni gorączkowych, każda godzina jest droga i może przynieść świeży zarobek. Pracują też ludzie, dopóki oczy się same nie skleją do snu, dopóki ręce nie zmartwieją i nie pokryją się pęcherzami od zimna i słonej wody.

Co pcha tych ludzi do pracy gorączkowej, spełnianej z taką ochotą i dobrym humorem? Oczywiście nadzieja zysku, który może im wy-

starczyć na dłuższy czas. Przytem jest to gra hazardowna; nikt nie wie naprzód, co mu dzień przyniesie, każdy daje jednakowy wkład kapitału lub pracy, a los obdarzy jednego większym, drugiego mniejszym zarobkiem. Najpierw część połowu, około 63 proc., zabiera „statek“, t. j. właściciel, kapitan i maszynista; reszta zostaje własnością rybaków, których bywa na statku przeważnie 8—10. Każdy z nich otrzymuje swoją część, tak zwany „lot“, i przytem w wolnych chwilach mogą próbować szczęścia, zarzucając sieci na inne ryby; wszystko to razem w przeciągu trzech tygodni przynosi każdemu z rybaków od 500—1500 marek zysku. Nic dziwnego, że taki zarobek nie pozwala ludziom myśleć o śnie i odpoczynku i zmusza ich do wytężonej pracy.

Lecz oto zabrzęczały łańcuchy — to pierwsza łódź wyrusza. Jest już tak widno, że rozróżnić można góry, zarysowujące się na horyzoncie, jak potężny zwał chmur. Łodzie już są na morzu, wymijając zręcznie wysepki i skały, przerzynają powierzchnię wody. Jest niedzielny poranek i powiew wiatru przynosi odgłos dzwonów kościelnych. To dzwonią w kościele w Grips, jednej z najmniejszych parafii Norwegii; należy do niej zaledwie parę wysepek. Ilu też z tych 200 parafian pójdzie dziś do domu Bożego? Ludzie w skupieniu słuchają dźwięku dzwonów, ale główny szyper patrzy już z uwagą na morze. Po ruchu fali poznać można, którądy ciągną śledzie.

Na horyzoncie błyszczą wciąż światełka białe i czerwone... to latarnia morska w Grips próbuje swem krwawem lub białem okiem dojrzeć flotyllę. Napróżno! wzrok ten jej nie dosięgnie, flotylla za daleko posunęła się już w morze. Łódeczka, wysłana na zwiady, powraca i jakiś głos woła: jeszcze nie czas! Zdawałoby się, że teraz jest jeszcze czas do chwilowego wypoczynku, ale nikt nie myśli o śnie; spało się jeszcze przedtem dwie godziny. Każdy z załogi próbuje szczęścia i zarzuca sznur na głąbiki. Tu każdy działa na własną rękę i jedno szczęśliwe zarzucenie przynosi 30 örów (ör ma wartość naszych 2 fenygów), a może zdarzyć się dużo takich udatnych zarzuceń, zanim śledzie raczą się zbliżyć do sieci. Sznury zarzucone są zupełnie machinalnie, czasem rybak stoi, śpiąc, a zdrętwiała ręka zaciska się kurczowo wokół sznura. To samo widziałem kiedyś na wsi. Babina opraciała śledzie, gdy w tem zasnęła i śpiąc smacznie, nie przerywała swej pracy. Tu wiedzą wszyscy, że w „epoce“ śledzi każda minuta ma swoją wartość, korzystać

więc trzeba, dopóki to bogactwo jest jeszcze w morzu; pracują też wszyscy z podziwu godną energią.

Gdy burzliwa noc pokryje kirem morze, nadchodzi wtedy czas odpoczynku i snu.

— Teraz czas!

Szybkim rzutem zanurzają się sznury w wodzie i cała uwaga skupia się teraz na sieciach. Ludzie są już przyzwyczajeni do nadzwyczaj dokładnych i zgodnych ruchów. Po krótkim czasie ukazuje się pierwszy srebrzysty pas — to śledzie. Z gołemi rękami rzucają się rybacy na tę wilgotną, ruchliwą masę, która wyłania się z morza. W sieci jest tak dużo śledzi, że ten wyślizgujący się, żyjący ciężar, uderza w piersi ludzi, wnoszących sieć na pokład. Ale oni z przyjemnością zanurzają ręce w tej śliskiej, ruchliwej masie, zdaje im się, że pokrywają pokład stosami błyszczących koron. Więc padają te masy, tak, że wkrótce pokrywają cały pokład do masztów i w głąb po schodach aż do kajut.

Dziś jest jasność przezroczysta i powietrze kryształowe... wszyscy zatapiają się w pracy i wszelkie urazy milkną na jakiś czas. W czystem, zimnem powietrzu rozlegają się doniosłe głosy ludzkie, dźwięk łańcuchów i szum motorów. Fale morskie kołyszą lekko statki, otoczone na milę wokoło lasem masztów i kominów. Powiew wiatru pędzi dym powoli w stronę wschodu, tam tworzy on nad czerwonym okiem słońca olbrzymią brew. Jeszcze nie czas zarzucać sieci, ale wszystko już przygotowane; ludzie próbują raz jeszcze sznurów i wpatrują się niewywczasowanemi oczyma w zachodzące słońce, które chowa się na widnokręgu w krwawej łunie i zalewa wszystkie przedmioty i powietrze światłem i barwami. Zdziwiałe, jak prędko nastaje ciemność; nadlatuje, zda się, wiatrem, unoszącem się nad morzem. W jednej chwili niebo na północy staje się czarne i w ponurych ciemnościach widać tylko grzebień fal, jak śnieżno-białe, chłodne, ustępują miejsca coraz to nowym szeregom. Dopiero teraz, w tej nieprzeniknionej okiem atmosferze, ma się przejmujące do szpiku kości wrażenie, że się jest na bezbrzeżnym oceanie.

Lecz następuje czas pracy na łodziach. Morze rozbrzmiewa wołaniem, rozkazami, hałasem, łodzie oświetlają się żółtymi latarniami i w ciemnościach rozlewa się to światło po całym morzu. Nadchodzi pora, kiedy śledzie idą w sieci; ze wszystkich też łodzi spuszcza je już na morze i płyną powoli dalej z wiatrem, tak, że sieci zostają rozwie-



Koczowisko cyganów.

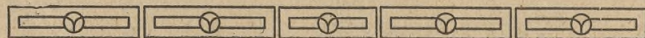
szone na wielkiej przestrzeni. Nierzadko bywa tak, że gdy łodzie są dość duże, związują razem 80 do 90 sieci i tworzą jedną olbrzymią, długości około ćwierci mili norweskiej (mila norweska wynosi około 10 kilometrów). Ale znów zdarza się, że napłynie taka masa śledzi, że ciężarem swoim może przerwać sieć; wtedy w mgnieniu oka trzeba wszystkie sieci rozłączyć, aby uniknąć szkody i straty.

Na wszystkich łodziach rozciągnięto sieci, które w świetle pochodni wyglądają, jak srebrne. Zapach śledzi miesza się z zapachem wilgoci i morza. Wkrótce osiada na ścianach, kominach, pokrywa rdzą metalowe przedmioty, włosy i ubranie przesiakają nim doszczętnie. Tygodniowy pobyt w tem powietrzu jest już bohaterstwem. Lecz ludzie ci zdają się nie odczuwać tego zapachu, zżyli się z nim, roznosząc go po całym mieście i sklepach. Dość powiedzieć, że gdy się rozmawia z takim rybakiem przez telefon, czuje się go na odległość.

Niektóre statki kończą już połów i żeglują w stronę lądu, i oto przed południem cała flotylla jest już z powrotem w mieście. Pierwsze statki zarzucają kotwicę w części portu, przeznaczonej na rynek. Zaczyna się już targ, podczas, kiedy całe chmary mew uwijają się koło statków; małe łódeczki z pluskiem wiosła śpieszą ku targowi.

A co się też wogóle ze śledziami staje? Tymczasem wiadomo tylko z pewnością, że wzbudzają zajęcie na targu w Hull, ponieważ są w tym roku bardzo duże i tłuste. Ale czy też wiedzą ludzie, kupujący śledzie wędzone w Hamburgu, skąd one pochodzą i gdzie zostały złapane?

Złapano je pewnej nocy grudniowej, hen, o wiele mil od brzegu, w pewnym fantastycznym mieście świetlanem, pod groźnem i ponurem niebem północy.



Dla nauki.

Jedno z paryskich pism lekarskich opisuje fakt niezwykłego poświęcenia się młodego lekarza dla nauki.

Doktor medycyny, Aleksander Fzaicon, ordynat kliniki chirurgicznej w Jassach, postanowił zbadać na sobie samym skuteczność nowego środka znieczulającego. Środek ten nie przedstawia ujemnych stron używanego dotychczas przeważnie chloroformu. Przy umiejętnem zastosowaniu wła-

ściwych ostrożności „rachi-strychnino-stowainoza-cya“, dokonana między odpowiednimi kręgami grzbietu, znieczula najzupełniej niższą połowę organizmu, bez żadnego oddziaływania na czynności mózgu, głowy i rąk, które pozostają wolne i mogą podczas operacji spełniać zwykłe funkcje.

Doktor Fzaicon dotknięty był cierpieniem z powodu nowotworu, wytworzonego w żołądku i grożącego zaduszeniem. Chciał zatem dokonywać operacji własnymi rękami sprawdzić jak najdokładniej na sobie samym wrażenia pacjenta podczas operacji i zbadać szczegółowo stopień znieczulenia, wywołanego zastosowaniem nowego środka.

W dniu oznaczonym udał się do sali operacyjnej w towarzystwie profesora Iuvara i trzech asystentów. Usiadł na stole operacyjnym i profesor zastrzyknął mu dawkę środka znieczulającego. Po pewnym czasie wziął w rękę skalpel i opowiadając bezustannie o tem, co zamierza zrobić i czego w danej chwili doświadcza, przystąpił do otwarcia własnej jamy brzusznej. Ale wkrótce odrzucił nóż, ponieważ dawka okazała się niedostateczna. Po zastosowaniu nowej dawki znieczulenie nastąpiło szybko i wtedy dzielny człowiek zabrał się energicznie do pracy. Był to podobno widok jedyny w swoim rodzaju, gdy operujący samego siebie, po otworzeniu żołądka zamykał cążkami żyły, wyrzynał systematycznie nowotwór. Poczem palcami umieścił wnętrzności w należytych porządku i zabrał się do zszywania zewnętrznej błony brzusznej. Ta ostatnia jego część roboty była już nieco bolesna, ponieważ znieczulenie zaczęło ustępować.

Podczas operacji doktor ciągle rozmawiał z asystentami, odkładał skalpel, pozując kilkakrotnie dla fotografa i obmywał ręce z krwi, poczem znów się zajmował operacją. Gdy wszystko było skończone, przeniesiono go zupełnie przytomnego do łóżka, z którego szczęśliwie podniósł się po dwóch tygodniach.

Dzięki takiemu poświęceniu się młodego lekarza, wiedza lekarska zyskała doświadczenie kliniczne wielkiej wagi.

Szczęśliwe miasto.

Czy jest takie na świecie? — zapytacie Czytelnicy. Jest — oczywiście jest! Wśród milionów miast nieszczęśliwych zdarzyć się musi przecie wyjątek, a zdumieni będziecie, jeśli Wam powiem,

że tem „szczęśliwem” miastem jest właśnie serce Polski — Warszawa...

Takie to niby miasto skromne, niewinne — już oddawna wykreślone zostało z liczby wielkich stolic Europy, a jednak, mimo wszystko, nie pod każdym względem dało się ono zepchnąć na plan ostatni. Nie, bynajmniej!

Oto proszę mi wskazać choćby jedno miasto z pośród wszystkich, rozrzuconych po całym świecie, które liczyłoby więcej żydów, aniżeli... Warszawa? Konia z rzędem temu, kto takie miasto wynajdzie!

Zastrzegam się tylko, że wyłączam zupełnie z zabiegów o palmę pierwszeństwa w tym względzie amerykański Nowy Jork, w którego murach gnieździ się 1 milion 62 tysiące żydów. Ono jedno bowiem, jedno na całym świecie może zwycięsko konkurować z Warszawą, ale to dzięki raczej swemu obszarowi i zaludnieniu, gdybyśmy bowiem zechcieli wziąć ołówek w rękę i obliczyć siłę tamtejszego żywiołu żydowskiego w stosunku procentowym do innych grup narodowościowych, to wtedy również zwycięstwo odniosłaby nasza umiłowana przez nas, a nie tylko przez nas, bo — i to szczególnie — przez żydów — Warszawa.

Iluż żydów liczy to polskie miasto? — zapytacie Czytelnicy. Otóż właśnie w tem sęk... Jakby to Wam wytłumaczyć? Bo, jak wiecie, rachunki, cyfry — nie stanowią przedmiotu naszego narodowego upodobania, czujemy do nich wstręt niewypowiedziany, wskutek czego własnych, bezstronnych statystyk porównawczych nie posiadamy...

Jakże więc wybrnąć z owego ciężkiego istotnie kłopotu, w który wprowadziłem się samowolnie, lekkomyślnie?

I może nie wybrnąłbym z tego zadania z honorem, gdyby nie ten polski zwyczaj, który wskazuje, iż gdy się niema własnej głowy, trzeba sobie pożyczyć cudzej... gdy czegoś brak, należy się udać do tych, którzy posiadają za siebie i za nas wszystko — do żydów...

Jedno z pism warszawskich twierdzi, że żydzi są „modni”... Otóż to właśnie! Są modni, oni to bowiem „robią” za nas w handlu, w przemyśle, oni za nas nawet myślą i z tem nam właśnie przez długi czas było wygodnie. A wpływ wywarli taki, że wielu, bardzo wielu literatów, publicystów i polityków polskich, oczywiście „liberalnych”, przestało już dziś zupełnie myśleć własnym mózgiem, wypożyczyli sobie bowiem, jak wszystko inne — i mózg żydowski...

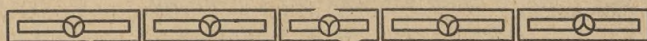
Powracam wszakże do wątku sprawy. Otóż skoro stało się już zwyczajem, że wszelkie luki

nasze zapełniać mają żydzi, więc i ja, w kwestyi omawianej statystyki udać się musiałem do źródeł żydowskich. Źródłem tem jest oto jedna z wychodzących w Anglii gazet żydowskich, według której największym środowiskiem żydów jest Warszawa, liczy bowiem 306,712 żydów, a dalej idą: Peszt — 184,047, Wiedeń — 148,926, Londyn 144,300, Berlin — 128,277 itd.

A zatem Warszawa jest z pośród wszystkich miast pod tym względem pierwszym miastem na całym świecie.

Szczęśliwe miasto! Dalibóg — szczęśliwe!..

Ignotns.



Przygoda myśliwska.

Niezwykłe wrażenia czekały 2 strzelców, których zaproszono do Hattenkirchen w Holsztynie na polowanie do lasu. Nie mogąc się doczekać reszty towarzystwa, ruszyli na własną rękę w las. Z gęstwiny wypadł nagle dzik, pędząc prosto ku nim. Każdy z myśliwych rzucił okiem na prawo i na lewo i w jednej chwili znajdował się na najbliższym drzewie. Dzik z krzykiem i chrząkaniem latał po lesie, a myśliwym włosy stały dębem. Nadeszło w końcu wybawienie, bo zbliżyli się towarzysze. Jeden z przybyłych, chcąc zaimponować towarzyszom, z gołymi rękami rzucił się na dziką, pochwycił go i zarzucił sobie na plecy. Siedzący na drzewach nie wyszli jeszcze z podziwu, gdy naraz rozległ się szalony śmiech. Dziękem była zwyczajna świnka, którą pomysłowy właściciel kazał uczernić sadzą i zawieźć do lasu. Bohaterzy mogli więc śmiało zejść z drzewa, ale miny ich nie wyglądały chyba zbyt mądrze!

Kalendarzyk historyczny

od 19 do 25 marca.

19. Konfederacja dysydentów w Toruniu 1767 r. — Uwolnienie więźniów stanu w Galicyi 1866 r.
20. Śmierć Władysława IV 1648 r.
21. Prawo sądów, Litwie przypisane 1492 r. — Upadek dyktatury Langiewicza 1863 r.
22. Bolesław Śmiały zdobywa Łuck 1073 r.
23. Repnin powołuje wojska moskiewskie przeciw konfederatom Barskim 1768 r.
24. Kościuszko ogłasza powstanie w Krakowie 1794 r.
25. Statut Wyślicki ostatecznie potwierdzony 1541.

Łamigłówki do nagrody

I. Metagram.

Ułożył W. K.

Ktobądź przez **l** imię moje,
Tego przez **r** niech nie minie.
Przez **m** fale toczy swoje
W Rosyi. Przez **n** z cudu słynie.
Któż nie zna przez **t** srogięgo,
Przez **w** z aromatu swego?
Przez **s** służy do chowania,
Zaś przez **p** do pokrywania.

II. Szarada.

Pierwsza-czwarta w Starym Zakonie była żydom
[dana

Druga-trzecia-czwarta w skwar letni bywa
[pożądana.

Całość jako instrument u nas dobrze znana
I przez młodych i starych chętnie jest słuchana.

Dokładne rozwiązanie łamigłówek prosimy
nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do
23. marca b. r. na ręce redakcji.

**Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone
zostaną nagrodą.**

Nazwiska osób, które dobre nadesłały rozwią-
zania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogło-
simy w nr. 13.

Rozwiązanie

Łamigłówki zamieszczonej w nr. 9.

d w a
c ł o
l o a r a
m a l a d e t t a
a g e z y l a u s
e s s e n
k ł y
s a n
o w a
i w o
p a w
e r a
s n y
r e n
b a Ń k i
m o n t c e n i s
a p a s z o w i e
a m b r o ż y o n u f r y
ż u ł a w s k i j e r z y
Władysław Warneńczyk.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Felicja Brachłówna, Michał Cerefin, Ju-
styn Cholewik, Franciszek Cieśla, M. Długowska,
Emilia Franz, Marya Galikowna, Emil Gruszecki,
Marya Haass, Ludwik Knapiński, Korneli B. Ko-
siński, Henryk Królicki, Julian Krzysztofowicz,
Wanda Medveczky, Wanda Misiewicz, Bolesław
Natorski, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna,
J. Pieszczocho, Franciszek Pawliczek, Celestyn
Schöffler, J. Steinal, ks. Józef Welc, Anna Wel-
niana, Jerzy Żuławski, Marya Chciukówna.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. W. Andersz z Steele (Nadrenia), Ludwika
Bock z Berlina, Basia i Hanusia Czetwertyńskie
z Suchejewoli (Król. Polskie), Władysław Kaźmier-
ski z Copitz (Saksonia), L. N. z Berlina, St. Ra-
tajczak z Steele (Nadrenia), Helena Sokołowska
Berlina, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (West-
falia).

Nagrodę otrzymają:

pp. W. Andersz z Steele (Nadrenia), Ewa
Świątkowska z Buku, Jadwiga Drygasówna z Po-
znania, Marya Galikowna z Izdebek (Galicya).

*Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczęd-
zenia opłaty pocztowej, przysyłali rozwiązania łami-
główek tylko na pocztówkach.*

ZGUBIŁO

już wiele tysięcy męczący kaszel za pomocą zale-
canego przez lekarzy i smaczne środki na kaszel

Thymomel Scillae.

Środku tego używa się także przy kokluszu z naj-
lepszym skutkiem.

Fabryka i skład główny w

APTECE B. FRAGNERA,

c. k. dostawca.

Praga-III Nr. 203.

Proszę poinformować się u lekarza.

1 butelka **2.20 kor.**, franko pocztą za poprzedniem
nadesłaniem **2.90 kor.**, 3 butelki za poprzedniem
nadesłaniem **7.— kor.**, 10 butelek za poprzedniem
nadesłaniem **20.— kor.**

**Baczność na nazwę pre-
paratu, fabrykanta i zna-
czka ochronnego.**



Do nabycia w aptekach.

W Krakowie w aptekach M. Masłowskiego, M. Re-
dera, K. Wiśniewskiego.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

Conan Doyle.

Przygody brygadiera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

Zbój-poeta.

Tu, na klapie mego surduta, widzicie panowie wstążkę mego medalu zasługi. Medal sam chowam w skórzanym pudełku i wyjmuję go tylko wtedy, gdy przybywa jakiś nowy generał naszych czasów pokojowych, lub jakiś dostojny cudzoziemiec, aby doskonale znanemu brygadierowi Gerardowi złożyć wizytę. Wtedy przypinam go do piersi, woskuję wąsy tak, że siwe końce dotykają prawie oczu, a jednak obawiam się, panowie, iż nikt nie może mieć prawdziwego pojęcia o mężu, którym niegdyś byłem.

Teraz jestem tylko cywilistą — co prawda takim, który się może pokazać — ale zawsze tylko cywilista. Gdybyście mnie jednak widzieli dnia 1. lipca 1810 roku, gdy stałem w bramie gospody w Alamo — ah, byłoby dla was jasnym, co huzar zdziałać potrafi i do czego doprowadzić może!

Przez cały miesiąc musiałem siedzieć w tej przeklętej wsi i to wskutek nędznego pchnięcia lancą w kostkę, co nie pozwoliło mi swobodnie postawić nogi na ziemi. Prócz mnie znajdowało się tam jeszcze trzech innych inwalidów, którzy jednak wyleczyli się dość szybko i powrócili do armii.

Tylko ja sam pozostałem, ku mej wielkiej rozpacz, obgryzałem sobie palce, darłem włosy z głowy i — przyznaję to otwarcie — płakałem ze złości, gdy pomyślałem o moich huzarach, którzy się musieli obywać bez swego pułkownika. Wprawdzie nie byłem jeszcze szefem brygady, aczkolwiek każdy musiał mnie mieć za takiego, ale najmłodszy pułkownik całego wojska francuskiego, a pułk mój był dla mnie wszystkim na świecie. Bolało mnie to, iż moi chłopcy tak byli osamotnieni. Villaret, najstarszy major, był wprawdzie doskonałym żołnierzem, ale czyż i wśród najdoskonalszych niema różnych stopni?

Ah, ten szczęśliwy dzień lipcowy, w którym po raz pierwszy mogłem się dopukać do drzwi i cieszyć się złotymi promieniami słońca!

Widziałem się znowu na czele moich dzielnych huzarów — ale jak się do nich dostać, do nich, którzy znajdowali się w Pastores, po drugiej stronie gór, zaledwie czterdzieści mil drogi odmnie? Przecież to samo pchnięcie, które mnie zraniło, zabiło także i mojego konia! A dzielny to był koń!

Wypytywałem się gospodarza, Gomeza, i starego księdza, który nocował w gospodzie, ale nie mogli mi udzielić żadnej rady; obydwaj zapewniali mnie, iż w całej wsi niema nawet nędznej szkapiny. Zresztą gospodarz uważał za rzecz niebezpieczną, abym bez towarzysza puszczał się w góry, gdyż El Cuchillo, hiszpański wódz bandytów, grasuje w nich ze swą bandą, a dostać się w jego ręce oznacza pewną i ciężką śmierć.

Stary ksiądz potwierdził te słowa, ale sądził, iż oficera francuskiego powstrzymać to nie powinno. Aczkolwiek może przez chwilę się wahalem, tych kilka słów wystarczyło, abym wiedział, gdzie droga.

Ale konia, konia, konia!

Stałem więc we drzwiach, myślałem i snułem plany i byłem bliski rozpacz, gdy nagle usłyszałem tentent kopyt końskich. Spojrzałem i spostrzegłem wysokiego, brodatego mężczyznę w niebieskim, podobnym do uniformu bubraku. Jechał na nędznym karoszu, posiadającym lewą nogę zupełnie białą, co bardzo wpadało w oczy.

— Hej, towarzyszu! — zawołałem na niego.

— Hola! — odparł.

— Pułkownik Gerard z dziesiątego pułku huzarów. Leżałem tutaj ranny przez cały miesiąc, a chciałbym się dostać z powrotem do mego pułku w Pastores.

— Komisarz Vidal, także do Pastores. Cieszyłbym się, panie pułkowniku, gdybyś pan ze mną chciał jechać, gdyż w górach ma być nie bardzo bezpiecznie.

— Ah! — odpowiedziałem — posiadam konia. Możebyś pan sprzedał mi swojego? Każę pana jutro sprowadzić pod eskortą moich huzarów do Pastores.

Ani słyszeć o tem nie chciał. Daremnemi były także przedstawienia gospodarza o okrucieństwach, których się dopuszcza El Cuchillo, i moje, jakie posiada obowiązki wobec ojczyzny i armii.

Wreszcie nie chciał nam już odpowiadać i zawołał głośno, aby mu podano szklanice wina.

Wtedy chytrze poprosiłem go, aby zsiadł z konia i napił się ze mną wina; musiało go jednak uderzyć coś w mej minie, gdyż poruszył przecząco głową. A gdy się zbliżyłem do niego, aby go pochwycić za nogę, dał koniowi ostrogi i zniknął w tumanie kurzu.

Do dyabła! Złość i wściekłość mnie porwały, gdy spostrzegłem, iż ten drab tak szybko pędzi ku swym beczkom z mięsem i butelkom z winem, nie myśląc wcale o pułkowniku i jego pięknych pięciuset huzarach.

Spoglądałem jeszcze za nim z gorzką zawiścią, gdy w tem ktoś dotknął mego ramienia. Gdy się odwróciłem, ujrzałem przed sobą wspomnianego już małego księdza.

— Mógłbym panu dopomóc, panie pułkowniku — rzekł łagodnie — sam jadę na południe.

Z radości rzuciłem mu się na szyję; w tem jednak noga mi się poślizgnęła i obydwaj o mało nie padliśmy na ziemię.

— Zawieź mnie pan do Pastores — zawołałem — a otrzymasz pan różaniec z samych złotych pereł.

Znalazłem taki w klasztorze świętego Ducha; teraz przekonałem się, jak to dobrze jest zabierać z sobą z wyprawy, co się tylko da, gdyż niewiadomo, przy jakiej sposobności można potrzebować najnieprawdopodobniejszych rzeczy.

Odpowiedział mi doskonale po francusku:

— Zabiorę pana z sobą, ale nie dla jakiegoś wynagrodzenia, lecz dlatego, ponieważ obowiązkiem moim jest pomagać bliźniemu według sił moich, i dlatego też wszędzie mnie tak lubią.

Mówiąc tak, poprowadził mnie przez wieś do starej stajni, gdzie znaleźliśmy stary dyliżans pocztowy, jaki na początku stulecia kursował między zapadłymi wioskami. W stajni znajdowały się także trzy stare muły, z których każdy z osobna nie był dość silnym, aby udźwignąć człowieka, ale razem mogły być pociągnąć wózek. Wierząc mi, panowie, że widok tych nędznych zwierząt, z wystającymi żebrami, na długich nogach wykoszlawionych, zachwycił mnie więcej, niż te dwieście pięćdziesiąt rumaków cesarza, które widziałem w stajni dworskiej w Fontainebleau.

Kosztowało nas to jednak wiele trudu, zanim nakłoniliśmy gospodarza do zaprzężenia mułów do wózka, gdyż obawiał się potężnie straszego Cuchilla. Gdy jednakowoż obiecałem mu bogactwa całego świata, a ksiądz zagroził mu piekłem, wsiadł na wózek i wziął lejce do rąk. Potem jednak tak mu się zaczęło spieszyć, aby jeszcze przed nocą dojechać do celu, iż zaledwie miałem czas pożegnać się należycie z córeczką gospodarza.

Niestety, nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć jej imienia, ale pamiętam, iż spłakaliśmy się wtedy oboje, i że to była piękna dziewczyna. A to świadectwo z ust człowieka, który w czterech królestwach zwalczał mężów i całował kobiety, z pewnością jest coś warte.

Mały ksiądz patrzył się z początku bardzo poważnie, gdy całowaliśmy się na pożegnanie, potem jednak okazał się doskonałym towarzyszem podróży. Przez cały czas opowiadał mi o swem

małem probostwie w górach, a ja nawzajem opowiadałem mu o moich przygodach w życiu.

Trzeba jednak było być bardzo ostrożnym, gdyż skoro powiedziałem jedno słówko za wiele, zaczął się niepokoić, a mina jego wykazywała bardzo wyraźnie, iż obraziłem jego uczucia.

Samo się przez się rozumie, iż elegancki człowiek będzie z osobą duchowną rozmawiał grzecznie, aczkolwiek nie można się wcale dziwić, gdy żołnierzowi wymknie się czasem jakieś drastyczniejsze słowo.

Z jego opowiadania dowiedziałem się, iż pochodził z północnej Hiszpanii, a celem jego podróży była mała miejscowość w Estremadurze, gdzie mieszkała jego matka staruszka.

Opisywał mi jej skromny domek i radość z powodu możliwości ujrzenia jej znowu po długim niewidzeniu, w tak żywych barwach, że musiałem pomyśleć i o mojej drogiej matce, a lzy stanęły mi w oczach.

W swej pocziwej naiwności pokazał mi nawet przeznaczone dla niej małe podarunki, a jego całe postępowanie było tak dziecinnie naiwnem, iż chętnie uwierzyłem jego zapewnieniu, iż nie posiadał wcale wrogów, i każdy go lubił.

Podziwiał wielce mój mundur; ze zdumieniem badał cienkie sukno, wychwalał pióropusz i z uszanowaniem dotykał się czerwonych wyłogów munduru. I pałasz wyciągnął mi z pochwy, i drżał, gdy mu opowiadałem, wiele ludzi pałasz ten wyprawił już na tamten świat. Gdy mu jednakowoż pokazałem szczerbę, pochodzącą z ramienia cara Aleksandra, zgroza jego nie miała granic. Łagodnie wyjął mi z rąk broń i ukrył ją pod skórzanym siedzeniem, z uwagą, iż sam widok tej broni przyprawia go o zawrót głowy.

Ujechaliśmy w ten sposób spory kawał drogi, a gdy dotarliśmy do podnóży gór, usłyszeliśmy po prawej stronie daleki huk dział. Był to mój znakomity dowódca Massena, który, jak wiedziałem, oblegał Ciudad Rodrigo.

Byłbym chętnie podbiegł prosto do niego, gdyż, aczkolwiek opowiadali niektórzy, iż w jego żyłach płynie krew żydowska, był on przecież najdzielniejszym żydem, który od czasów Jezuego uganiał się po świecie.

W każdym razie oblężenie jest tylko marnem zajęciem przy pomocy siekiery i łopaty, a przy moich huzarach w walce przeciwko Anglikom, była przecież daleko piękniejsza robota.

Z każdą miłą, którą przebywaliśmy, robiło mi się na sercu lżej, aż wreszcie z radości, iż niezadługo zobaczę moje konie i moich dzielnych chłop-

ców, zacząłem śpiewać, jak młody, świeżo upieczony chorąży.

Im dalej posuwaliśmy się w góry, tem surowszą i dzikszą stawała się droga. Z początku spotykaliśmy się tu i owdzie z jakimś poganianiem mułów, teraz jednak wszystko jakby wymarło; nic dziwnego, gdyż grasowali tutaj Anglicy, Francuzi i bandy rozbójnicze.

Odwróciłem wreszcie oczy od tego smutnego widoku, a zastanawiając się w głębi duszy, pomyślałem o tem i owem; o kobietach, które kochałem, o koniach, które miałem pod sobą.

Nagle z marzeń mych wyrwało mnie zachowanie się mego towarzysza podróży. Starał on się szydłem wywiercić dziurę w pasku rzemienym, na którym wisiała manierka do wody. Ręka tak mu drżała, iż rzemień wymknął mu się nareszcie z ręki, a drewniana manierka padła u mych nóg. Pochyliłem się, aby ją podnieść, tymczasem jednak ksiądz, jak błyskawica, skoczył mi na plecy i wepchnął mi szydło w oko.

Panowie, wiecie chyba, aż nadto dobrze, iż jestem człowiekiem, który każdemu niebezpieczeństwu śmiało zagląda w oczy. Gdy się było od sprawy pod Zurychem aż do fatalnego dnia bitwy pod Waterloo, gdy się uzyskało wielki medal, zasługi, który przechowuje w skórzanym pudełku, to chyba nie można mówić o „strachu“. A gdy kiedy wasze nerwy spletają wam jakiego figla, to pocieszcie się myślą, że nawet ja, brygadyer Gerard, doznałem strachu.

Do strachu, z powodu niespodziewanego napadu i do bólu w ranie przyłączyło się nagle uczucie wstrętu — uczucie, które chyba ten tylko odczuwać może, na którego rzuci się jadowity gad.

Chwyciłem potwora obiema rękami, zwałem go na spód wózka i zacząłem go obrabiać mymi ciężkimi butami. Udało mu się coprawda wyciągnąć pistolet z kieszeni sutanny, ale wytrąciłem mu go z ręki, i zacząłem ponownie dusić pierś jego kolonami.

Zaczął wrzeszczeć przeraźliwie, a ja zacząłem szukać mego pałasza, który mi podstępnie wyjął z ręki. Namacałem go wkrótce i zacząłem obcierać krew spływającą mi po twarzy, aby się przekonać, gdzie ten drab leży — chciałem go przebić pałaszem — gdy nagle wózek się przewrócił, a broń wskutek wstrząśnienia wypadła mi z ręki.

Zanim się mogłem opamiętać, wyciągnięto mnie z wozu za nogi. Aczkolwiek padłem na twarde kamienie, aczkolwiek musiałem sobie powiedzieć, że otoczyło mnie z trzydziestu drabów, zawyłem przecież w głębi duszy z radości. W natłoku koniec mego płaszcza zasłonił mi zdrowe

oko, ale tem drugim, zranionem, mogłem widzieć tę bandę zbójceją.

Po tej bliźnie możecie panowie jeszcze dziś spostrzedz, iż stał wcisnęła mi się bardzo blisko żrenicy, a dopiero, gdy mnie wyciągnięto z wózka, przekonałem się, iż nie straciłem na zawsze wzroku.

Ten drab miał widocznie zamiar przebić mi

(Ciąg dalszy nastąpi.)

mózg, a musiał mi naruszyć jakąś kość w istocie, gdyż z tą raną miałem więcej kłopotu, niż z jakąkolwiek inną, którą otrzymałem.

Gdy te psy wyciągnęły mnie wśród przekleństw i złorzeczeń, zaczęli mnie obrabiać pięściami i kopać nogami. Dobrze tylko było, iż ci górale mieli zwyczaj owijania nóg szmatami.

DZIECIĘ Z ULICY.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Ferra nic nie odpowiedziała. Stała dumnie wyprostowana z twarzą zwróconą do okna, przez które zachodzące słońce rzucało ostatnie blaski na jej małą, kształtną główkę.

— Szkoda jej — myślał Achil, patrząc na nią — szkoda! Jaka wspaniała byłaby z niej księżna, ale tak, jak rzeczy stoją, nie ma dla niej żadnych na to widoków.

— No, i co? — rzekł w końcu głośno — czy ci tak trudno odpowiedzieć na moje pytanie?

— O! księżę wie zapewne, o co mi chodzi! — zawołała Ferra z wyrzutem. — Ja księciu zawdzięczam wszystko i pokładam w nim całe moje zaufanie; nie było nic na świecie, czego bym na rozkaz księcia nie była wykonała z ślepem posłuszeństwem. Byłam mocno przekonana o tem, że opieka ta będzie powodem mego nieszczęścia!

Achil potarł czoło ręką — był bardzo niespokojny.

— Ależ Ferro — rzekł po chwili — nie bierz wszystkiego tak na seryo. W twojem położeniu trzeba albo żyć jak zakonnicą, albo być obojętną na to, co ludzie mówią. Zdaje mi się, że to ostatnie jest najlepsze.

— Ale księżę wiedziałeś, na co będę wystawiona — rzekła Ferra ze łzami w oczach — to było niesprawiedliwie, niesłusznie i dla tego muszę się oddalić.

— Dokąd pójdziesz?

— Do krewnych Klary, do Bretanii.

— Głupstwo!

— O nie! Tutaj dłużej pozostać nie mogę!

I łzy spływały po jej twarzy, najpierw zwolna, potem coraz prędzej, aż nareszcie zapłakała głośno, jak dziecko.

Achil podniósł się z niechęcią i ujął jej ręce.

— Nie bądź dziecinna, Ferro, poczekaj jeszcze kilka dni, dopóki nie obmyślę czegoś stosownego dla ciebie, ale proszę, nie płacz już, mnie to dręczy, a zresztą lzy szkodzą piękności. Nie będziesz się na mnie więcej uskarżała, ale teraz przestań płakać.

Po wyjściu Ferry rzucił się znów na kanapę i pograżył się w przykrych myślach.

— Byłem chyba waryatem — myślał, gdy przypomniawszy sobie chwilę, w której po raz pierwszy spotkał Ferrę na bulwarach; potem kazał zaprzadzić i pojechał do klubu.

Jak gdyby się dziś wszystko sprzysięgło przeciw niemu, przyjaciele jego i znajomi rozmawiali tylko o Ferze; jedni mu jej zazdrościli, drudzy z niego żartowali, dosyć, że w końcu stracił cierpliwość.

— Zdaje mi się — rzekł szorstko do księcia Salerno — że już oświadczyłem wam wyraźnie, że ta dziewczyna jest pod moją opieką i że, o ile w mej mocy, będę zawsze strzegł jej i jej dobrego imienia i że bez namysłu zastrzelilibym każdego, ktoby śmiał wątpić o jej niewinności. Każdego! bez wyjątku, chociażby mego najlepszego przyjaciela!

Twarze wszystkich spoważniały i zamilkli, ale tylko tak długo, dopóki księżę był pomiędzy nimi.

Wiedział on dobrze, co sobie szeptało po jego odjeździe i to go bardzo gniewało. Zły i wzburzony powrócił do domu i posłał po Anatola. Potrzebował koniecznie kogoś, komuby mógł powierzyć swój zamiar, który nagle powziął i który zdawał mu się być jedynym możliwym środkiem do wyjścia z tych wszystkich zawikłań. Liczył na to, że mu Anatol odradzać będzie i był gotów usłuchać jego dobrej rady.

— Powiedz, na Boga — rzekł Leroy, siedząc na fotelu koło kominka — co cię spowodowało do przysyłania po mnie o tej porze?

Achil milczał — patrzył uważnie na swoje białe, delikatne ręce — widocznie przykro mu było zaczynać rozmowę.

— No, dalej! — rzekł Leroy niecierpliwie.

— Wiesz już o Ferze? — zapytał Achil.

— Tak! — odpowiedział Anatol — byłem świadkiem jej pierwszego wielkiego zmartwienia. Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia?

— Jestem odpowiedzialny za jej przyszłość — rzekł Achil poważnie — i zdaje się, że postępowanie moje względem niej nie zawsze było takim, jakim być powinno.

Leroy rozśmiał się głośno.

— Nie myślałem, że umiesz tak dobrze udawać! — zawołał.

— Mam obowiązek starać się o jej szczęście i nie mogę puszczać jej w świat samej — bez opieki.

Anatol uśmiechnął się dwuznacznie.

— Nie wiedziałem, że chce stąd odejść — rzekł szyderczo. — Nie sądzę jednak, aby to rzeczywiście było jej zamiarem — tak się czasem tylko mówi. Co więc zamýślasz uczynić?

— Ożenię się z nią! Jest to jedyna możliwość odzyskania spokoju.

— Achilu!

Leroy zerwał się tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, wywróciło się z łoskotem.

— Czy mówisz na seryo?

— Naturalnie — rzekł książę z niechęcią — postąpiłem sobie z nią źle i chcę to naprawić. Chcę żyć w spokoju, nic więcej. Zdrowie moje nie pozwala na to, abym dzień i noc łamał sobie głowę nad jakimkolwiek bądź załatwieniem tej sprawy.

Na sienie twarzy wicehrabiego wystąpiły dwie czerwone plamy; zdobył, którą już uważał za swoją, wysuwała mu się z rąk, a on w bezsilnym gniewie musiał spokojnie na to patrzeć.

— Achilu — rzekł nagle łagodnie i położył mu rękę na ramieniu — wszakże jestem twoim długoletnim przyjacielem; przyrzeknij mi przynajmniej, że jeszcze raz rzecz tę sobie dobrze rozważysz, zanim Ferze o tem powiesz. Takie nagłe postanowienia nie zawsze są dobre, zaczekaj chociaż tydzień jeszcze, tylko jeden tydzień!

— Chciałbym się już raz pozbyć tego wszystkiego — rzekł książę gniewnie — czem ją do tego czasu uspokoję?

— Nie potrzebujesz się z nią wcale widzieć!

— Mniejsza o to! Ale postanowienia mego nie zmienię. Muszę jej wynagrodzić za wszystkie przykrości, jakich doznała z mego powodu.

— Zobaczymy, co powiesz za tydzień!

Achil kiwnął głową na znak, że się zgadza i przy pożegnaniu uściśnął serdeczniej niż zwykle rękę wicehrabiego — był zadowolony, że postanowienia swego rzeczywiście nie zmienił i cieszył się, że wszelkie nieprzyjemności ustaną.

Tej samej nocy napisał Anatol do starego księcia Arbanowa, prosząc go, aby jak najprędzej przyjeżdżał do Paryża, jeżeli sobie nie życzy, aby syn jego wziął za żonę dziewczynę z najniższych sfer społeczeństwa. List ten, wzór dyplomatycznej przebiegłości i ostrożności, podpisał tylko jednym słowem: „Przyjaciół” i zaniósł go sam na pocztę.

VII.

Książę Konstanty Arbanow wrócił co tylko do domu po polowaniu na wilki. Przeczytawszy list Anatola, kazał przygotować wszystko do odjazdu — zjadł obiad — zamienił ubranie myśliwskie na wygodne ubranie podróżne i w kilka godzin później był w drodze do Paryża.

Stary książę był chwilowo wcale nie łagodnie usposobiony; syna nie widział przez całe dziesięć lat, stracił do niego wszelkie przywiązanie i przeżywał teraz ciągle nad tem, jakim sposobem odwieść go od tego zamiaru ożenienia się.

— Zmuszę go do posłuszeństwa — powiedział sobie w końcu.

Gdy kilka dni później stary książę ukazał się niespodziewanie w salonie Achila, był tenże tak zdziwiony, że w pierwszej chwili stracił swój zwykły spokój.

— Wielki Boże! — zawołał, zrywając się z kanapy — drogi papa! Skąd się tu nagle zjawiłeś? Myślałem, że siedzisz sobie spokojnie w głębi Rosyi, a tu naraz widzę cię w Paryżu! Cóż cię tak niespodziewanie sprowadziło?

— Interesa — odrzekł krótko stary książę i spojrzał z litością na swego syna, który po tem powitaniu ojca zmęczony i słaby upadł na kanapę. Dziwna zachodziła sprzeczność między temi dwoma postaciami. Obok schorowanego i wiecznie zmęczonego syna, wyglądał ojciec jego prawdziwie wspaniale; wysoki, barczysty, silnie zbudowany, miał twarz czerstwą i pełną życia, a w ciemnych i bystrych oczach jaśniał młodzieńczy prawie ogień.

— Interesa? — powtórzył Achil z niedowierzaniem.

W pałacu książąt Arbanow nie było słowo: interesa, na swoim miejscu, widocznie miał ojciec co innego na myśli.

— No, bądź co bądź, cieszę się, żeś przyjechał — dodał po chwili.

Wiele radości jednakże nie wyrażała blada i znękana twarz jego, wiedział, że przybycie ojca zakłóci jego spokój, o miłości zaś pomiędzy nimi nie było nawet mowy. Zazdrościł ojcu trochę jego zdrowia, jego silnej, wyniosłej postaci, na której wiek tak mało zostawił śladów — jedynie biała, długa broda i białe włosy na głowie były dowodem podeszłych lat.

— Co tu z ciebie zrobiono! — rzekł książę, patrząc z litością na Achila. — Mój biedny synu, wróć ze mną do Rosyi, na stepach jest powietrze czyste i zdrowe, tam odżyjesz na nowo!

Achil zadrżał z przerażenia.

— Na miłość boską! kochany ojciec, tylko nie to! Już dosyć użyłem świata, drugi raz nie pragnę zaczynać. Tutaj ludzie prędzej żyją, lecz ja się na to wcale nie skarzę.

Wieczorem przyszedł Anatol, a gdy na życzenie starego księcia wniesiono samowar do salonu, rzekł książę spokojnie:

— Szkoda, że nie ma tu żadnych rąk kobiecych, któreby nam herbatę przyrządziły, a ja to tak bardzo lubię. Czy nie masz nikogo, komu byś ten urząd mógł powierzyć?

— Chyba Ferra! — odpowiedział Achil, wahając się.

Obawiał się zapytań ze strony ojca, ale jednak posłał po nią,

Ferra zmięszała się niezmiernie, usłyszawszy życzenie księcia.

— Czy muszę iść koniecznie? — zapytała się panny Klary. — O! gdybyś wiedziała, jak mi ciężko rozkaz ten wykonać.

— Nie obawiaj się, moje dziecko — odpowiedziała stara panna. — Tak źle nie jest, jak ci się zdaje. Książę Konstanty jest już stary. Pisałam też dziś list do Bretanii.

— Pomimo to może książę tak samo o mnie myśleć, jak inni.

— To już teraz na jedno wyjdzie! — pocieszała ją panna Klara i pogładziła jej włosy. — Bądź rozsądną i idź.

Rozsądną i zawsze rozsądną! Często słyszała to słowo, a dziwna rzecz, że jakkolwiek bądź dawano jej radę, zawsze to słowo powtarzano. Nie było warto namyślać się dłużej nad tem, na czym rozsądek rzeczywiście polega, to też nie opierając się dłużej, poszła na górę.

Oczy starego księcia spoczęły na wchodzącej młodej dziewczynie z wielkiem upodobaniem. Śliczna jej twarzyczka była zarumieniona, a nieśmiałość dodawała jej wdzięku i uroku. Książę nie dziwił się zamiarom syna swego, lecz z tego nie wynikało bynajmniej, aby się na nie miał zgodzić.

Czas, który biedna Ferra przebyła przy samowarze, był dla niej pełen męczarni. Trzej mężczyźni nie spuszczała z niej oczu i to czyniło ją tak nieśmiałą i niezręczną, że na uprzejme zapytania starego księcia nie umiała prawie żadnej dać odpowiedzi. Dziękowała Bogu, gdy jej narzeczcie pozwolono odejść, chociaż Achil, obawiając się ciągle pytań ojca, starał się jak najdłużej ją zatrzymać.

Jednakże wbrew wszelkim oczekiwaniom, książę Konstanty nie wyrzekł ani słowa. Zdało się, że obecność pięknej dziewczyny w jego mieszkaniu wcale go nie dziwi.

Achil spokojny i uradowany tem, udał się wcześniej na spoczynek.

Zaledwie wyszedł z pokoju, skinął książę na Anatola i rzekł cichym głosem:

— Zapewne pan jesteś tym przyjacielem, który mnie zawiadomił o zamierzonym ożenku Achila?

Wicehrabia namyślał się przez chwilę.

— Tak — odrzekł w końcu, chcąc przynajmniej uratować pozór otwartości i szczerości.

— Ta dziewczyna jest bardzo piękną! — odezwał się znów książę.

— O tak!

— Jakiem jest jej prowadzenie się?

— Przed dwoma miesiącami wyszła z klasztoru Sacré Coeur. Takie dzieci nazywają się: „niezapisaną ćwiartką papieru“.

— Zapewne nie jest bardzo inteligentną? — pytał dalej książę.

— O nie, tylko trochę nieśmiała!

— Gdzie ją Achil poznał?

Leroy opowiedział całą historię jej życia. Książę słuchał uważnie.

— Dobrze — odrzekł w końcu i skinął ręką — chwilowo musimy jeszcze milczeć.

Książę Konstanty postanowił widocznie uszczęśliwić służbę pałacu Arbanowa. Nie dosyć, że Iwanowi, który urodzony w dobrach księcia, cieszył się wielkimi jego względami, darował znaczną sumę pieniędzy, ale nadto sam, osobiście, udał się na dół do pokoju gospodyni, aby wyrazić jej swe uznanie za wierną i długoletnią służbę.

Panna Klara promieniała ze szczęścia.

— Najjaśniejszy książę taki łaskaw! Ale ja też sumiennie wypełniam mój obowiązek i wiem, jak strzedz honoru...

Zatrzymała się nagle w swej mowie, spostrzegła bowiem, że nie jest samą. Bystre oczy księcia Konstantego dojrzały przez otwarte drzwi sąsiedniego pokoju wielkie zwierciadło, w którym się odbijała wysmukła postać Ferry, stojącej około kwiatów przy oknie; szybko przestąpił próg i zbliżył się do niej.

— Dzień dobry, panno Ferro! — zawołał. — Chciałbym wiedzieć, czyś pani w swym mieszkaniu także tak uparcie milcząca, jak wczoraj z wielkim żalem zauważyłem. Piękne kobiety powinny dużo mówić, bardziej je to zdoła, niż milczenie.

— Ale ja nie jestem piękną kobietą — odrzekła Ferra. — Nie powiedziała tego przez skromność, bo wiedziała dobrze, że się może śmiało mierzyć z każdą pięknoscią, ale w jej przekonaniu tylko ta miała prawo nazywania się „piękną kobietą“, która posiadała kosztowne tualety, brylanty i wszystko, co do tego należało.

— Możliwy temu zaprzeczyć — rzekł książę grzecznie. — Zresztą pojmuję, że pani zachowujesz wszystkie swoje zalety wyłącznie dla Achila, on też panią za to bardzo kocha, nieprawdaż?

Ferra, niezmiernie zadziwiona, spojrzała na księcia.

— O kim książę mówi?

— O Achilu, moim synu!

— O książę — rzekła zawstydzona i spuściła oczy — byłam dla niego zawsze tylko ciężarem, ale nie mam nikogo na świecie, do kogo bym się mogła udać.

— Pani się mylisz, wiem napewno, że Achil cię kocha.

— Nie, książę — odrzekła i spojrzała mu śmiało w oczy — kto to powiedział, nie mówił prawdy. Nie znam wprawdzie miłości, ale wiem napewno, że książę Achil mnie nie kocha.

— A pani?

— Ja byłam mu zawsze wdzięczną za to, że mnie jako dziecko uratował od zguby.

— A teraz? Dlaczego mówisz pani o czasie przeszłym?

— Bo muszę się stąd oddalić.

— Czy panią kto obraził?

— Tak, świat! Ja przecież nie wiedziałam, na co się narażam, mieszkając tutaj.

— Biedne dziecię! — rzekł książę Konstanty łagodnie i ujął jej rękę. — Czy mógłbym ci w czymś pomóc?

— O tak, może! Klara pisała do swych krewnych, do Bretanii i prosiła ich, aby mnie wzięli do siebie, ale oni nie chcą, myślą bowiem, że jestem przyzwyczajoną do wielkich zbytków. Nie wiem teraz, dokąd się udać, a chciałabym o ile możliwości jak najdalej stąd!

— Biedne dziecię! — powtórzył książę, odechnął głęboko i spojrzał na uroczą, zasmuconą twarz dziewczęcia. — Szkoda, że jestem już taki stary — rzekł.

— Czy książę doprawdy bardzo stary? — zapytała Ferra, zamyślając się. — Może dla tego czuję więcej zaufania do księcia, niż do kogoś innego na świecie.

— Dziękuję! — rzekł uprzejmie i uściśnął jej rękę. — Lubisz pani kwiaty?

— O tak, bardzo!

— Więc pozwolę sobie przysłać codziennie bukiet, aby sprawić pani chociaż małą przyjemność. Do widzenia, moje dziecko!

Ferra została sama z swymi myślami. Grzeczność księcia bardzo jej pochlebiała, ale na co jej się to wszystko zdało, kiedy nawet nie wiedziała, gdzie ma się podziąć.

Nazajutrz, gdy weszła do salonu, aby znów przyrządzić herbatę, zbliżył się do niej książę Konstanty i rzekł półgłosem:

— Nie widzę w włosach pani fiołków, czy miałem nieszczęście nieodgadnięcia gustu pani?

— Książę byłeś tak łaskaw... i Ferra zarumieniła się gwałtownie.

Ciąg dalszy nastąpi).

Czas odnowić przedpłatę na pismo nasze, lecz kto tego **zaraz** nie uczyni naraża się na to, że pierwszych numerów już może zabraknąć. W ostatniej chwili prosimy jeszcze Przyjaciół pisma naszego do jednania nam nowych abonentów, **szczególnie w tych domach**, gdzie ciągle jeszcze niemieckie „blaty“ się rozpościerają na wstyd i szkodę sprawy naszej polskiej.

ZA WINY OJCÓW.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Lecz mój biedny słowiczek — mówiła Stella dalej — będzie raz dzikim, potem miękkim jak воск, a dla takich osób jak twoja babka, to nie przyda się taka taktyka. Z nią trzeba inaczej zacząć, wszystko, tylko nie łzy! Czy twoja wesołość już zupełnie zniknęła, mój zajączku?

Ach, tak, znikła ona i zdawało mi się, że nigdy już nie wróci.

Stella pocieszała mnie, ale daremnie. Ponieważ wyglądałam bardzo zapłakana, nie mogłam więc zejść na kolację, przeto Stella jadła ze mną w naszym pokoju. Udałyśmy się wcześniej na spoczynek i zmęczona doznaniem wzruszeniem, zasnęłam w krótkim czasie snem twardym i głębokim.

Zdawało mi się przytem, że ktoś pochyła się nad mojem łóżkiem, że jakaś miękka ręka przesuwająca się łagodnie po mojej głowie i cichy, tłumiony głos szepce serdecznie:

— Nie płacz moje dziecko, jestem jeszcze przy tobie, będę cię kochać i pomagać ci, jak tylko można! Nie płacz! Teraz, gdy masz oczy zamknięte, jesteś podobną do mojej Edyty.

Daremnie usiłowałam otworzyć oczy i ostrząsnąć się z senności, wyciągałam ręce, ale w pokoju nie było nikogo i potem już nie wiem, co się ze mną działo.

* * *

Gdy nazajutrz dość późno zobaczyłam moją babkę, nie była samą, a chwila ta, której się tak obawiałam, przeszła lepiej, niż myślałam. Madame Beaumont była także w salonie, a oprócz niej jedna z nauczycielek i panna Barbara Morton, której wymowne oczy patrzyły na mnie z czułością i przyjaźnią.

Zbliżyłam się szybko do babki, pocałowałam jej rękę i rzekłam:

— Czy przebaczysz mi, babciu, moje wczorajsze uniesienie?

Spojrzała na mnie ostro.

— To pokaże przyszłość i twoje dalsze zachowanie — odrzekła chłodno.

Zwróciłam się potem do madame, którą prosiłam o wiele łatwiej i szczerzej. Madame nie gniewała się na mnie, widziałam to po jej dobrej, łagodnej twarzy, a to, co do mnie mówiła naganego i surowego, odnosiło się więcej do tej starej

zasady, że młodzież nie powinna zapominać o szacunku dla starszych, jak do mnie osobiście.

Śniadanie zjedliśmy wspólnie; monsieur i Stella przyszedli także, która przez wzgląd na to, że wkrótce miała opuścić pensję, nie chodziła już na lekcję, odegrała małą komedię, któraby mnie innym razem była bardzo rozśmieszyła; wystąpiła ona wobec babki z całym szykiem prawdziwej francuskiej arystokratki. Ukłon jej był bez nagany, mówiła poważnie, poskramiała wybornie wesołość spojrzenia i złośliwy jęczyczek, i była tak dobrze, świetnie wychowaną panną, taką prawdziwą małą markizą, że osłupiałam, i patrzyłam na nią, niedowierzając własnym oczom. Uważałam też, że madame uśmiechała się raz po raz; monsieur udawał, że nic nie widzi; panna Barbara patrzyła na Stellę z niekłamanym podziwem, a babka, dla której cała ta komedia była odegrana, miała wyraz twarzy bardzo zadowolony. Słuchała z zajęciem całego rodowodu rodziny de Marligne, której początek sięgał pierwszych czasów chrześcijańskich, a której obecnym przedstawicielem był świetny Henryk. Rodzina Willoughby szczyliła się też prastarem szlachectwem — tak opowiadała babka — która w wyliczaniu pokoleń niezmierną znajdowała przyjemność. Uroczysta „grandessa“, z jaką Stella siedziała naprzeciwko babki, uprzejmość, z jaką często zwracała się ku mnie, jako ku swej „drogiej przyjaciółce Dorze“, aby mnie wciągnąć do rozmowy, wszystko to wydaje mi się teraz — wspomnieniu — o wiele śmieszniejszym, niż wtenczas. Rozmawialiśmy po francusku, babka mówiła płynnie, chociaż z dziwnym nieco akcentem, Barbara nie odzywała się wiele i zadawała się słuchaniem, nie umiała bowiem po francusku. Ja także po największej części milczałam i studyowałam spojrzenia mej babki, które dziś, skoro tylko na mnie spoczęły, przybierały pewien wyraz czujności, jak gdyby chciała sama na siebie uważać, i dać się unieść swej nienawiści.

Po śniadaniu, gdy madame wyprowadziła babkę do ogrodu, aby jej pokazać jakiś rzadki kwiat, usłyszałam, jak babka winszowała jej takiej pensjonarki, jak Stella.

Stella tymczasem zbliżyła się do mnie.

— Dziecko — szepnęła z przytłumionym śmiechem — bawię się bosko! Nie bądź tak poważną

baw się raczej takżel! Widzisz, bierz przykład ze mnie! Życie to komedia, dla czego nie odgrywać w niej jakiejs roli? Aleś ty zawsze taka uczciwa, taka sumienna i na wszystko się czarno zapatrujesz. Po co, moja Dorciu? Powinnaś się sama zmusić do tej komedyi i nie czekać, aż cię inni zmuszą!

Potem nadeszła chwila rozłączenia się. Miałam tyle do myślenia, byłam tak bezradna i zmieszana w duszy, że w pierwszej chwili nie czułam tak bardzo całej tej boleści. Nieustannie stawiałam sobie pytanie: co mi przyniesie to nowe życie? i pod wpływem tej obawy zapominałam o wszystkim innym.

Ale gdy nareszcie zajechał powóz mający nas odwieść do Vevey, gdy wynoszono moje kufry, i gdy wszyscy wyszli do ogrodu na to miejsce, na którym po raz pierwszy ujrzałam Stellę, gdy madame Beaumont ze łzami w oczach przycisnęła mnie do serca, szepcząc:

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, moja Doro — gdy koleżanki z płaczem garnęły się do mnie — wtedy zdawało mi się, że serce mi pęknie i że cała moja szczęśliwa młodość znika bezpowrotnie! Przytuliłam się do Stelli, która z głośnym łkaniem szeptała mi ciągle słowa pociechy, ale usta jej drżały, a głos wypowiadał posłuszeństwo. Ach, czemu nie było mi wolno zostać tu, gdzie wszyscy mnie kochali, i gdzie byłam tak szczęśliwą?

— Pójdź Doro — najwyższy czas — rzekła babka krótko i rozkazująco.

Wsiadła szybko do powozu, skinęła na Barbarę — a ja, na wpół przytomna, zesłam po raz ostatni ze schodów wili i zajęłam miejsce obok niej.

Konie ruszyły: w purpurowym blasku stały szczyty gór i purpurowy blask padał na wszystkie postacie, które zostawiłam w ogrodzie. Płakali, uśmiechali się, poruszali chustkami, rękami — o — tylko raz jeszcze spojrzę na nich, jedyny raz — wszystko już znika — już — tuman kurzu zakrywa mi cały widok — żegnam was na zawsze!

Podróż nasza odbywała się bardzo spokojnie; powietrze sprzyjało — jechałyśmy wygodnie, mieszkałyśmy w pięknych, wytwornych hotelach i odpoczywałyśmy po kilka dni w dwóch, czy trzech większych miastach. Najważniejszym zdarzeniem byłoby to, gdybym się w jakikolwiekbyś sposób była zbliżyła do mej babki, ale to nie nastąpiło wcale. W razie jakiegoś zbliżenia się, musiałaby babka uczynić pierwszy krok, ale widocznie nie życzyła sobie, aby stosunek nasz stał się poufalszym, serdeczniejszym. Przybrała względem mnie

pewną chłodną uprzejmość; ja byłam uprzedząco grzeczną — zdawało się, że milcząc dałyśmy sobie słowo, aby się wzajemnie nie drażnić i starannie unikać wszystkiego, coby mogło wywołać jakie nieporozumienie.

Nie mówiłam też nigdy o muzyce, nie pytałam nigdy o moich rodziców i ich przeszłość, nie okazywałam żadnej ciekawości pod względem mej przeszłości i życia w domu babki, i starałam się być spokojną i pewną siebie w całym moim postępowaniu, chociaż nie posiadałam ani w części talentu Stelli. Byś może, że babka pragnęła mi wynagrodzić ten przymus, wszędzie bowiem kupowała mi piękne rzeczy, pamiątki z podróży, oprowadzała mnie po galeryach i muzeach, zwracała uwagę na rzadkie zabytki przeszłych czasów, chwaliła Stellę, wypytywała o całe jej życie, o jej krewnych — na co zawsze tylko krótko odpowiadałam jednym słowem; pomiędzy nami panowało zawieszenie broni. Pomimo to nie mogłam się pozbyć obawy na myśl, że to była cisza po burzy i przed nową burzą. Czasem rozmawiałyśmy dosyć dużo i żywo, potem znowu następowały długie godziny zupełnego milczenia i w taki sposób odbywała się nasza podróż.

Mistress Barbarze Morton, która tak prędko pozyskała moją sympatię, byłabym chętnie okazała więcej poufaleści i przyjaźni, gdyby nasze życie w podróży było na to pozwoliło. W jej wielkich, jasnych oczach błyszczała taka dobroć serca, gdy je na mnie zwracała! Wszystko, co mówiła, tchnęło prawdą, rozumem i uczuciem, przede wszystkim zaś pociągało mnie ku niej to, że znała matkę moją od dziecka, że ją wychowywała i kochała.

Tysiące pytań paliło moje serce. Z każdym dniem, z każdą godziną wzrastało moje namiętne pragnienie usłyszenia czegoś o tych minionych czasach i ledwie, ledwie mogłam doczekać chwili w której zostałaby sama z Barbarą.

Ale dopóki byłyśmy w podróży, nie mogło się spełnić moje życzenie. W wagonie siedziała zawsze babka z nami i inne obce osoby; w hotelach miała każda z nas sypialnię i wspólny tylko salon — a mistress Barbara spała zawsze obok babki, której pomagała przy ubieraniu się i rozbieraniu i załatwiała wszystko, co było potrzeba, płaciła rachunki, zamawiała powozy i hotele i kupowała bilety. Zajmowała ona miejsce towarzyski, powiernicy, garderobianej — w każdym razie była wykształconą osobą i zachowywała zawsze właściwy takt. Umiała się zastósować do wymagań, zwyczajów i usposobienia babki z taką zręczno-

ścią, że widać było, jak dawno już z nią żyje i jak ją szanuje i ceni.

Mistress Barbara służyła swej pani z niezłamaną wiernością, ale wątpię, czy ją kiedy z całego serca kochała — tego też babka nie żądała od nikogo i wątpię, czy byłaby zdolną odplacić komu tem samem uczuciem.

I tak pewnego pięknego słonecznego dnia wyjechałyśmy do Londynu, a wrażenie jakie odniosłam na widok nowego miejsca pobytu, było bardzo dobre. Wesole życie na ulicach, okręty i łodzie na Tamizie, przepyszne pałace — tu pomnik wspaniały, tam olbrzymie place, otoczone wspaniałymi domami — patrzyłam na wszystkie strony, zdumiona, zachwycona i na zapytanie mistress Barbary:

— Czy nasz Londun nie jest piękny?

— O, tak, bardzo! — odpowiedziałam z głębokim przekonaniem.

Pięknym także był wielki dom, nieomal pałac na Albert Street, własność babki, do którego teraz zbliżyłyśmy się szybko.

Babka posiadała jeszcze dom w Edyburgu, gdzie dotąd mieszkała, obecnie jednak przeniosła się do Londynu, po nieomal dwudziestoletniej nieobecności. Pałac ten, przed którym powóz stanął, był zbudowany w stylu renaissance, wsunięty w ulicę tak, że mały ogródek otaczał go wokoło — był to niejako znak, że nie chce mieć styczności z ulicą.

Na szerokich, marmurowych schodach zgromadziła się służba w celu powitania wracającej pani: stangret i służący w ciemnej liberyi i trzy czy cztery służące w podeszłym wieku, o poważnych twarzach, które kilkoma słowami pozdrowiły z najwyższem uszanowaniem wielmożną panią hrabinę.

W pałacu panowała uroczysta cisza i chłód jak w kościele. W wysokim, sklepionym przedśionku, z którego rozchodziło się mnóstwo dębowych, rzeźbionych drzwi, jako i dwoje schodów na wyższe piętra, były u góry kolorowe szyby, przez które wpadały promienie słońca, łamiące się na białej, kamiennej posadce. Barbara objaśniła mi, że pokoje po prawej stronie, to dawniejsze salony do przyjmowania gości i bali — dziś wcale nie są zamieszkałe — raz po raz bywają przewietrzone i znowu zamykane, i to się powtarza od lat dwudziestu; pokoje zaś po lewej stronie są urządzone dla babki. Ja mam wyznaczone mieszkanie na pierwszym piętrze, równie, jak i ona sama.

— Życzę sobie, aby Dora natychmiast poszła do swego pokoju i zajęła się wypakowaniem swoich

rzeczy — rzekła baba. — Betty może iść z nią i pomódz jej — po upływie dwóch godzin możesz przyjść do mnie Doro, i wypić ze mną herbatę. Betty, od dziś będziesz obsługiwać miss Dorę, ubierać ją, rozbierać i czesać.

— Dobrze, milady!

Nieco zdziwiona i bardzo ucieszona tą niespodziewaną dobrocią babki, poszłam z służącą na górę, gdzie na końcu niezmiernie długiego korytarza urządzone dla mnie dwa pokoje. Meble były kosztowne i piękne, mianowicie podobała mi się w sypialnym pokoju przepyszna gotowalnia i olbrzymie zwierciadło do ubierania, tak zwane „Psyha“. Pomimo to, nie umiem powiedzieć, dla czego miały te pokoje dla mnie coś obcego, tak jak pokoje w hotelu; nie czułam się w nich swobodną i śmiałą. Nasz skromny pokój na pensyi w Vevey, o kwiecistych tanich firankach, o kwitnących różach i mirtach na oknie i małych obrazkach na ścianie, wydawał mi się o wiele niższym, niż to nowe mieszkanie, którego każdy przedmiot dziwnie nie swojo wyglądał.

Z ułożeniem moich rzeczy, przy pomocy zręcznej Betty załatwiłam się bardzo prędko. Zostawszy samą, usiadłam w saloniku na jedwabną kanapkę, której poręcze były tak proste, że o oparciu nie było nawet mowy, i spojrzałam do koła, szukając niby czegoś, a wiedząc naprzód już, że nie znajdę nic, z czego bym się serdecznie ucieszyła. Zamyśliłam się tak głęboko, że zapomniałam o wyznaczonej godzinie na herbatę i przestraszyłam się, gdy Betty przyszła i poprosiła mnie na dół. Zdawało mi się też, że spojrzała zdziwiona na moją suknię podróżną, której dotąd nie zdjęłam — ale nie chciałam jej o nic pytać i za chwilę weszłam do mieszkalnego pokoju babki.

Babka siedziała w wysokim fotelu przy oknie — obok niej mistress Barbara, obydwie trzymały w ręku jakąś robótkę.

— Zapomniałaś o herbacie Doro, i musiałam cię kazać zawołać — proszę, aby się to nie powtórzyło. W moim domu panuje porządek i wszystko musi się odbywać z wielką punktualnością.

Milcząc, pochyliłam głowę jak wyłajane dziecko

— Co widzę? Jesteś jeszcze w podróżnym ubraniu? — mówiła babka dalej, ostro i głośno. — Czy tak mało masz znajomości tego, co się należy, tego, coś winna mnie, osobie starszej? Jakże można na coś podobnego nie zważać? Ścisłe przestrzeganie form towarzyskich, ciągle staranie o to, aby w niczem nie uchylić wymaganiom, jakie nam nakazuje takt i dobre obyczaje — to są przymioty dobrze wychowanego człowieka. Jeżeli ci dotąd na niejedno nie zwróciłam uwagi, to stało

się to jedynie przez wzgląd, że byliśmy w podróży, że nas otaczali obcy ludzie, oprócz tego miałam nadzieję, że sama zmienisz twoje zachowanie się w moim domu. Żądam też bezwarunkowo, aby tak było — proszę to sobie spamiętać.

Niezmiernie zmieszana, wyszeptałam kilka słów przeproszenia, lecz babka skinęła tylko energicznie ręką.

— Daj pokój, Doro, spodziewam się, że tak szybko nie znajdę znowu powodu do nagany. Usiądź tu, naprzeciw mnie i słuchaj, jakim będzie podział dnia dla ciebie. Być może, że pomimo naszej krótkiej znajomości zrozumiesz, że plan ten wypracowałam po najgłębszym namyśle, wzięwszy na pomoc całe moje doświadczenie i chęć wypełnienia względem ciebie wszystkich obowiązków. Młode osoby obchodzą się z czasem zwykle bardzo rozrzutnie i nie mają pojęcia o regularnym podziale dnia. Na waszej pensji oszczędzono wam tego trudu, chociaż nie zupełnie w ten sposób, w jaki byłabym to sobie życzyła. Obecnie, kiedy zakład opuściłaś, mogę ci to śmiało powiedzieć. Pensye, jak wiadomo, są tylko przejściowym środkiem wykształcenia, a pensya madame Beaumont była jeszcze względnie najlepszą. W każdym razie jesteś jeszcze zbyt młodą i niedoświadczoną, aby uczynić sama dla siebie rozkład zajęcia, spodziewam się więc, że będziesz mi wdzięczną, iż się tem zajęłam. Uważam cię za dosyć inteligentną, abyś zrozumiała, że ponieważ nauczyłaś się czegoś, powinnaś jeszcze uczyć się bardzo wiele. Wykształcony człowiek uczy się całe życie; ja sama staram się nieustannie o rozszerzenie moich wiadomości pod każdym względem; dzisiejsze bowiem wykształcenie dziewcząt z swoją wspaniałą, imponującą powierzchownością, a wewnętrzną próżnią, jest mi wstrętne i uważam sobie za obowiązek ustrzedz cię przed czemś podobnem. Po długich namysłach spisałam program, który wypełnisz sumiennie, tak sobie życzę. Słuchaj więc — mówiąc to, wzięła babka ze stołu papier, rozłożyła go wolno i zaczęła czytać: — Latem będą cię budzić o godzinie pół do siódmej rano,

Doro, przypuszczam, że po kilku dniach obudzisz się sama w tym czasie, zależy to bowiem jedynie od przyzwyczajenia, zimą będziesz wstawała o siódmej. Na ubranie się powinno wystarczyć pół godziny czasu. Ponieważ zaś, jak wiadomo, umysł po nocnym wypoczynku jest najświeższy i najzdolniejszy do poważnych studiów, przeto od siódmej do ósmej, zimą pół godziny później, będziesz czytała naukowe dzieła, stosowne do twego wieku i usposobienia. Podczas śniadania, na które zejdiesz do mnie i na które wolno ci będzie przyjść w rannem ubraniu, opowiesz mi to, coś czytała. Sama wyszukam ci książki. Potem przez całą godzinę będziesz pomagała mistress Barbarze przy jej zajęciach domowych, abyś i na tem polu zebrała pewne doświadczenie. W następnej pół godzinie ubierzesz się starannie i przyjdiesz do mnie na drugie śniadanie, po którym nastąpi lekcya języka niemieckiego lub włoskiego, uważałam bowiem, że w tych językach masz złą wymowę. Dalej literatura i historia, jestem przekonana, że z tego nie wiele umiesz. Do tych nauk przyjąłm dwóch profesorów, znanych z świetnego wykładu. Obaj mieszkają blisko naszego domu, służący odprowadzi cię i znowu po ciebie pójdzie. Nauka malarstwa i robót ręcznych zacznie się później. Po obiedzie będziesz miała kilka godzin wolnych na porobienie zadań w wymienionych przedmiotach i na czytanie książek, które naturalnie sama ci wyszukam. Brak dozoru nad lekturą młodych dziewcząt był często powodem rozmaitych nieszczęść, to też trzeba być bardzo ostrożną i matki, oraz nauczycielki, które pod tym względem są niedbałe, zasługują na najwyższą nagane. Musisz uważać na to, Doro, abyś nie patrzała bezmyślnie na książkę; powinnaś zawsze zdać sobie ścisły rachunek z tego, coś czytała, uporządkować wrażenia i starać się wyrazić je jasno i zrozumiale, tak ustnie, jak piśmiennie. Tego żądam od ciebie; jest to wyborna szkoła dla umysłu, a nie myśl, że możesz ułatwić sobie to zadanie, znam bowiem dobrze dzieła, które ci dam do czytania i mogę osądzić dokładnie, czy czytałaś z uwagą i korzyścią dla siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale. Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę.

Marya Rodziewiczówna.

JERYCHONKA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Po twarzy Boińskiej przeleciały płomienie. Usunęła się do okna i patrząc ponuro przed siebie, połykała łzy. Magda zbliżyła się do niej.

— Nie trzeba się zrażać — szepnęła. — Ta kobieta nie jest może zła, ale jej serce wysuszyło samotność. Zawsze pani szczęśliwsza od niej, bo masz Janka. Proszę jej dać dużo serca i dobroci: zobaczy pani, jak roztaje.

— Tak ciężko udawać. Nie potrafię.

— To nie udawanie — to jałmużna. Ona będzie obdarowana za chleb i opiekę, daj jej pani szczęście na stare lata. Tak to pojmując, nie będziesz już czuła ciężaru.

— Gdyby nie pani, nigdybym nie pojechała. Alem wtedy przy konającym dziecku aniołów stróżów wzywała i pani weszła. Odtąd co pani mi doradzi, spełnię! Mam tylko jedną prośbę do pani. Proszę wziąć sobie ten obraz, który panią do mnie sprowadził.

— Nie! za nie!

— Ależ ja pani nim płacić nie chcę, już on dla mnie cud uczynił. Jużem o los dziecka spokojna. Teraz niech on u pani zostanie. Ja wiem, że on pani szczęście przyniesie, w złej chwili ratunek da. Proszę, niech mi pani nie odmawia. Jabym chciała szczęścia dla pani — Bożego szczęścia — bo kto go bardziej wart!...

— Ejże, bo uwierzę, że doskonałość i stracona będę do piekieł. Jeśli pani koniecznie chce, obraz zatrzymam jako depozyt dla Janka. Latem się zobaczymy. Przyjadę koniecznie zobaczyć, jak się pani powodzi.

— O przyjeźdź pani. I tak mi przykro, że panu Oryżowi nie podziękowała. Daj mu, Boże, dobrą dolę za jego serce i opiekę! Niech mu pani powie, że codzień się modlę za niego.

Zawołano ich do obiadu i Boińska, pokrzepiona otuchą, straciła swoją sztywność i nieśmiałość. Okęckiej widocznie się to podobało, bo raz wraz spoglądała ku niej i zagadywała łaskawie. Magda swoją niefrasobliwą wesołością ożywiła ją do reszty, a gdy po obiedzie zaczęła, jak dziecko, bawić się z Jankiem w chowanego, stara aż się uśmiechnęła.

— Jak żyję tyle nie słyszałam hałasu! — rzekła do majorowej. — Jednakże młodość w domu, to życie. Tylko trzeba nawyknąć! — dodała, głową kiwając.

— Do miłego bardzo łatwo. Dzieciak jest bardzo dobry i posłuszny. Będzie pani miała z nich pociechę i pomoc, i rozrywkę.

Okęcka, po swojemu wątpiąc, trzęsła głową, ale po chwili zawołała siostrzenicę i rzekła łaskawie:

— No, trzeba nam się zbierać. Wieczorem odjedziemy. Może ci co trzeba na drogę? Mam tu kilka reńskich. No, no, weź, nie żenuj się, od żyda na procent nie pożyczyłam. Dojedziemy do domu.

Było to coś tak niebywałego, że ksiądz oczy szeroko rozwarł i oniemiał.

— Proboszcz tak wygląda, jakby cud widział! — zaśmiała się do niego Magda.

— Ależ to cud! Ona jej dała dziesięć reńskich! A to, wie pani, co jesień, w rocznicę śmierci ojca, ona mi przysłała szafarkę, która niby to za swojego męża daje na egzekwie i wypłaci sobie nabożeństwo za guldena. Oprócz tego guldena, przez 1 t trzydzieści nie dała nikomu centa.

— A no, spróbujemy, gdy tam będę, namówić ją, by księdzu dopomogła do odnowienia ołtarza.

— Ej, nic z tego — westchnął ksiądz. — Kto się tak zmienia na starość, ten nie długowieczny. Nie dożyje ona lata!

— To wedle tej zasady i synowiec proboszcza powinien prędko umrzeć.

— Dlaczego? Czy przestał brednie prawić, ilekroć usta otworzy? To huncwot!

— Otóż właśnie, że się nie zgadzam z tą opinią! Przez dwa lata był naszym prawie domownikiem i bardzośmy go polubili. Nie zrobił nam nigdy przykrości.

— Tegoby jeszcze brakło! Pani by szatana z Bogiem pojednała!

— To nie, bo nie mam daru prozelityzmu. Alem pana Andrzeja poznała, że chce uchodzić za złego, to jego poza. Trzeba udawać, że się w to

wierzy, a udawać, że się nie widzi jego zalet. Wtedy nie sili się pozować i jest dobrym. Nigdy nie miała na niego kolegi i towarzysza. Tylko niech mu ksiądz tego nie powtarza, bo stracę go na zawsze. Myślę, że proboszcz go w domu zastanie. Nie mówił, dokąd jedzie, ale jestem pewna, że się troszczył o Boińską i pojechał dowiedzieć się, czy osiągnął skutek. Proszę go więc nie moralizować, nie napędzać do niczego, nie nagabywać o kwestye poważne — poważne. Proszę pamiętać, że udaje on, a więc udawać także.

— Słucham i chcę wierzyć, bo mi miło, że go pani rehabilituje; ale toć zgroza, żeby błaznowi ustępować dla jakichś waryacyi. On mi pół życia zatrzał swemi awanturami.

— Po pierwszej, którą spłata, proszę mu zrobić figla i pochwalić. Ręczę, że drugiej nie będzie.

— I to sposób! Ależ pani obserwatorka!.. A no, spróbuj! — i śmiał się udobruchany.

Okęcka zwiedziła szkołę majorowej i cały wieczór siedziała zamyślona. Nie mieściło się jej w głowie, by poświęcać czas i pieniądze na interes, który nietylko nie dawał procentu, ale ztracał sumę wkładową — i jeszcze interesem takim cieszyć się i rozwijać go dalej. Uwag swoich nie wyrażała słowami, ale pytała sama siebie i pocięto? dlaczego? Cierpiała, rachując te stracone pieniądze i myślała z zawiścią, ileby ona z takim kapitałem zrobiła świetnych obrotów.

Od czasu do czasu wdychała tylko żalostnie.

Nareszcie wyjechali. Magda z siostrą odprowadziły ich na dworzec i pożegnały odbietnicą odwiedzin. Potem Magda pożegnała siostrę i pojechała do Berwińskiej.

Pierwszy raz majorowa zaprotestowała przeciw tak opóźnionej wizycie.

— Włóczy się po nocach sama! To niema sensu.

— Wolałabyś, żebym się włóczyła z kimś.

— Wolałabym, żebyś nie zwracała uwagi.

— Czyjej znowu?

— A no, całego świata. Ostrzegał mnie ksiądz Walery, że zaczynają nie dość z szacunkiem mówić o tobie. Musisz dbać o opinię.

— Na czwartym miejscu. Muszę dbać o Boga, o honor, o swych przyjaciół, a potem, o ile to war- te, o tak zwaną opinię. Dotąd szłam jedną drogą i z niej nie zejść. Jakaś ty naiwna! Nie zmieniłam na jotę mego zachowania, zmieniła się tylko opinia. To dowód, że ktoś ma interes, by mi szkodzić. A no, ja tchórzem nie jestem, ten sposób nie na mnie!

Majorowa umilkła, ale cierń pozostał w jej duszy. Za powrotem do domu, zamiast udać się

na spoczynek, siedziała beczynn timer fotelu i rozmyślała, co się stało. Magda była czysta i szczerza do gruntu i życie jej w niczem się nie zmieniło. Zaszło jednak coś. Majorowa czuła pewien chłód w zachowaniu się kilku znajomych dam i zauważyła, jak dwóch młodych ludzi na ulicy, pokazując sobie Magdę oczyma, opowiadało coś półgłosem i śmiało się dwuznacznie. Przytem od kilku dni Sylwester nie przychodził, a on był barometrem łaski lub niełaski tłumu. Majorową zdjął lęk, sen do reszty uleciał, nawet szkoła nie zajmowała jej w tej chwili.

Odetchnęła z ulgą, gdy zadzwoniono w przedpokoju. Była to Magda, wielce zafrasowana.

— Wiesz, wynieśli się od kilku dni już na Stradom. Co to znaczy? I stary nic mi o tem nie wspomniał. Ich trapi jakaś troska, czy niedostatek. A przecie ona zarabia dobrze!

— Cóż z tego — odparła majorowa — kiedy ich pożerają długi tego infamisa brata! Toć wiadoma rzecz, że stracił majątek, pozarywał, gdzie mógł, nafałszował weksli i uciekł do Ameryki. Myślałam, że wiesz o tem, więc ci nie mówiłam dotychczas.

— To okropne! Biedni ludzie! I nic mi nigdy Berwińska nie wspomniała.

— A no, pewnie nie wątpiła, że wiesz, bo to była głośna sprawa. Sfałszował weksle radcy i uciekł przed kryminałem. Spytaj Sylwestra, to ci opowie.

— Nie chodzi mi o opowieść, ale żal mam do Berwińskiej za tajemnicę i myślę, jakby jej dopomódz. Jutro muszę ich odszukać. Ale spotkałam baronową z Sylwestrem, wracających razem z teatru pod rękę, a Filip dreptał z drugiej strony w rynsztoku.

— Jakto, wracałaś piechotą?

— A tak, bom nie znalazła doróżki.

— I widzieli cię?

— Naturalnie, nawet rozmawialiśmy sekundę. Namawiali mnie na Modrzejewską, ałem odpowiedziała, że oplakuję Oryza i nie mam towarzystwa.

— Bój się Boga! Gubisz się samochcąc. Taki głupi żart obiegnie jutro całe miasto i wyrośnie na skandal. Połowa uwierzy, że masz romans z Oryzem. Ty nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz.

— Na co?

— Stracisz wszystkie stosunki. Dom ci każda szanująca się kobieta zamknie.

— Kto naprzykład? Maliccy nie i Zakliccy też nie, a o resztę nie dbam: nudzą mnie, to i owszem. Zawiele miałam stosunków, to mi zajmuje czas. Mało czytam i studyuję. Więc mi nawet dogodzą swym ostracyzmem.

Ruszyła ramionami, ale widząc prawie rozpatcz na twarzy siostry, dodała już poważnie:

— Moja Maryniu! Czego się ty alterujesz? Byłam z nadto lubiona, chwalona i pieszczona. Teraz przyjdzie reakcja. To zwykła rzecz i cieszę się, że mnie znajdzie dojrzała. Gdybym się czuła winną, cierpiałabym nieźno; gdybym była panną na wydaniu lub mężatką, strzegłabym się cienia nawet, bojąc się skompromitować swój los lub rodzinę. Ależ mnie co może oszczerstwo odebrać! Ani zbawienia, ani szacunku tych, co mnie dobrze znają, ani talentu, ani stanowiska. Tłumu nie potrzebuję, próżną nie jestem, bez ludzi obejść się mogę, sama sobie wystarczam i świat przedemną otworem. Więc patrzę na to z całą obojętnością, jak na śmiecie i błoto, które mogę deptać lub ominąć, jak mi się podoba. W każdym razie radam, żeś mnie ostrzegła, więc się nie narażę na zamknięcie domu i tam, gdzie są gęsi, sama od tam nie pójdę. Ale postępowania na włos nie zmienię, bo nie mam nic do ukrywania, nie mam czego się wstydzić i niczego się nie lękam. Oto masz. Wyhodowałaś stworzenie cudaczne, ale zdrowe i silne i znając mnie, powinnaś trochę być śmielszą i wiedzieć, kim jestem.

Pochyliła się do siostry, objęła ją za szyję i ucałowała serdecznie.

— Chcesz? to ci cały sekret wyluszcę. Baronowej się zdaje, że kocha Filipa i że ja jestem jej rywalką, więc walczy bronią najpodlejszą, ale niezawodną: obmową! Wierzę, że dopnie celu i jak ty się tragicznie wyrażasz, zgubi mnie. Ale, maluczko, fantazyja jej dla Filipa minie, a wtedy i o mnie zapomni i ludzie, nie podjuzdani, uspokoją się! Obmowa jest jak drożdże: potrzebuje coraz nowego zaprawiania, bo inaczej opada i kwasnieje. Ludzie będą się bawili szarpaniem mojej opinii, aż się znudzą i znajdą nową ofiarę. Okaż, że się ich lęka, unikać, bronić się, to tylko podsycać płomień. I po co? Nie mam do nich nawet żalu, nietylko gniewu: Guarda e passa.

Majorowej widocznie przybywało otuchy i mocy. Więcej dla formy, niż dla zasady, rzekła:

(Ciąg dalszy nastąpi).

— Jednakże po co się narażać? Ja miałam przecucie, że ta baronowa nieszczęście ci przyniesie.

— Byle nieszczęścia nie przyniosła Filipowi! Moje nie straszne, ale on, biedak, może tam i duszę i talent zatracić.

— I fundusz — oburzyła się Osiecka. — Czemu to ludzie nie widzą, że ona jakby była na jego utrzymaniu? Szalony człowiek! wszystko tam przejdzie. Ja muszę go ostrzedz.

— Uchowaj Boże! To jakbyś ostrzegła lunatyka, gdy chodzi po spadzistym dachu. Ani słowa, owszem, najserdeczniejsze obejście. W razie niedoli, niech śmiało do nas się zwróci, a gdyby się teraz obraził, stracilibyśmy go na wieki.

— I to racya, ale nie sposób z zimną krwią patrzeć, gdy kto naoslep idzie w przepaść.

— Musimy patrzeć i milczeć. Już on jest trochę zrażony, zapewne go ona przeciw nam buntuje. Uważaj go za chorego, któremu wszystko wolno. Byle nie przestał malować, może go uratuje sztuka. Byle się zapalił do swojego dzieła, będzie bezpieczny!

Zamyśliła się daleko więcej, niż nad poprzednim tematem i po chwili na pół do siebie szepnęła:

— O! sztuka! Kto ją ukocha, ten wybraniec boży. Ma swój świat w sobie i jasnowidzenia ziemskie, i szczęście, którego mu nikt nie odbierze i które ni czasu, ni ziemskich zmian się nie boi. Tylko to kapłaństwo! i nieszczęśliwy jak potępieniec ten, kto je zmarnuje. Trzeba być ascetą, żeby za to zapłacić — Bogu.

Wstała i pocałowała raz jeszcze siostrę, poszła do swojej sypialni.

Zanim się zabrała do spoczynku, rozpakowała obraz Boińskiej i umieściła nad posłaniem. Chwilę patrzyła na jej pochyloną słodką twarz Matki Bożej, a potem szepnęła:

— Daj szczęście jemu! Ja nigdy zupełnie złamaną być nie mogę, bo gwiazdy, com dostała, nigdy nie dam na poniewierkę. Nad nim, jak nad rozbitkiem, czuwaj!

Cierpicie bóle?

Reumatyczne, podagryczne, ból głowy, zębów? Nabawiliście się czego przez przeciąg przeziębienia? Spróbujcie jednak uśmierzającego bóle, gojącego, wzmacniającego fluidu Feller z marką „Elsa-aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya. Próbny tuzin 5 kor. franco. Wytwórcą jest tylko

:: HUMORYSTYKA ::

Postęp kobiet.

— A ja ci powiadam, że my wkrótce nawet łysiny nosić będziemy, żeby we wszystkim dorównać mężczyznom.



Dopiero po ślubie.

Stary pan mówi do ośmioletniej dziewczynki:

— Maniu, daj mi buzi!

Mania: Nie mogę, bo mama mówiła, że to można dopiero po ślubie.



Szpakowaty.

— Panie Blutwurst, czy zna pan tego młodego Gomółkiewicza?

— Znam. On jest taki szpakowaty.

— Ależ skąd! Przecież to młody człowiek, silny brunet.

— Brunet, to on jest, ale jest także szpakowaty, bo on jak ten szpak co zobaczy ze złota lub srebra, to zaraz świeźnie.



To zależy.

— Jak ty sądzisz, czy mąż powinien wtajemniczać swą żonę w interes, jaki prowadzi? — pyta przyjaciela młody żonkoś.

— Jeśli z tego interesu nie ma dochodu, to tak... — odpowiada przyjaciel, mający podobno doświadczenie w tych sprawach.

A to się zemścił!

— No cóż? Odplaciłeś Julkowi za wyrządzoną obelgę?

— O jej, jeszcze jak!

— Zelżyłeś go wzajem?

— Jeszcze więcej!

— Więc go obiełeś?

— Jeszcze gorzej...

— Na miłość Boga, człowieku, cóżeś z nim uczynił?

— Pożyczyłem od niego 5 marek.



Ma rację

Podczas obiadu u państwa X. znany z wielkiego apetytu pan J. odzywa się:

— Czy wszystko jedno, gdzie rozkroję tego indyka?

— O, zupełnie wszystko jedno — proszę bardzo.

— To zawiń że go pan w papier, rozkroję go u siebie w domu.



Dziewiąte przykazanie.

— Tak sobie myślę, proszę pana, że dziewiąte i dziesiąte przykazania są bardzo dziwne.

— Dlaczego?

— Bo powiedziano tam: „nie pożądaj żony bliźniego, ani wołu, ani osła, ani służebnicy“ — a dlaczego niema tam nic o mężu!

— Dla Boga! A toć jest wyraźnie. Przecież pani sama mówi: „ani wołu, ani osła.“

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o najrychlejsze nadesłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracji „TYGODNIKA NARODOWEGO“ w Krakowie, ulica Wiślna 1. 2.

Prenumerata wynosi rocznie 9 koron, półrocznie 4 korony 80 hal., kwartalnie 2 korony 40 hal. — Abonament do Francji, Ameryki, Król. Polskiego i Rosji tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae*, przez lekarzy zapisywany, a bardzo skuteczny preparat.

Dobry apetyt! Zdrowy żołądek mamy, a żadnych gnieceń żołądka, żadnych boleści, odkąd używamy przeczyszczających pigułek rabarbarowych Fellerera z marką „Elsapillen“. Radzimy Wam z doświadczenia, spróbujcie takowych także, one regulują stolec, ułatwiają trawienie. — 6 pudełek 4 Korony. Wytwarza tylko aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260, Kroacya.



„KUPIEC POLSKI“

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

„Kupiec Polski“ : **Ogłoszenia**
omawia sprawy kupiectwa w „Kupcu Polskim“ najlepiej się opłacają.
wszystkich dzielnic polskich.
„Kupiec Polski“ : **„Kupiec Polski“**
obfitością treści przewyższa ma czytelników we wszystkich
nawet fachowe pisma niemieckie. kich sferach i dzielnicach Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austrii 2 Kor. kwartalnie, 8 Kor. rocz.
„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
„ w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznym w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacje o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orientację w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,
miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle,
a szkolnictwu ludowemu w szczególności,
wychodzi we Lwowie pod redakcją Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły“ wynosi:

rocznie 8 k. — 3 rb. 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:

Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Redaktor odpowiedzialny Henryk Mierkiewicz w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

8

niezmierznie ciekawych

powieści

Tajemnice wielkiego miasta
na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem
na tle dziejów Szertoka Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała
na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka

Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące
powieści

zamiast **13 Kor. 70 hal.**

po wyjąt- **7 Koron**
kowejcenie

wysyła franko za poprzedniem nadesłaniem
należytości.

„GWIAZDA“

Poznań,
ul. Wilhelmowska nr. 11.



**K
N
A
P
I
Ń
S
K
I** Zakład własny
wytrobów ortopedycznych
Ludwika Knapieńskiego

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i cho-
rób kończyn stawowych, bandaże, pasy,
gorsety, pończochy gumowe bez szwu,
prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuc-
zne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profe-
sorów i lekarzy, odznaczone na wystawach
lekarskich złotymi medalami.

Knapieński, Kraków, Mikołajska 7.

Telefon 505.



Wszelkie żurnale mód

francuskie, angielskie i wiedeńskie
cena 1 K.. z przesyłką K. 1.40, za
zaliczką K. 1.65

szczególnie żurnal sezonowy

Favorit

na wiosnę i lato 1911 zawierający około
1000 modeli jakoteż **GOTOWE KROJE**
na suknie, kostiumy, żakiety, spódnice,
szlafroki, matynki, bieliznę damską
i męską, rękawy, ubiory dla dzieci itd.
oraz manekiny na wszelkie miary poleca
M. LANDAU, Kraków, ul. Mikołajska 7.
Dla prenumeratów w Krakowie dostawa
do domu bezpłatna.

Magazyn i Pracownia sukien męskich
MARCINA CZAJI i WŁ. RECHOWICZA
Kraków, ulica Mikołajska L. 24.

poleca na sezon letowy wielki wybór materiałów
modnych, krajowych i oryginalnych angielskich.

Wykończenie artystyczne, ceny przystępne.

K. Zieliński,

— optyk —

Kraków, Rynek, A-B 34
Poleca obficie zaopa-
trzony magazyn wyro-
bów optycznych, oraz
pracownie, przyjmuje do
reperacji maszyny do pi-
sania wszelkich syste-
mów, gramofony i t. p.

Pierwszy zakład bandażo-ortopedyczny
HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórzu)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

Pasy rupturowe pachwinowe,
nerkowe i brzuszne.
Sznurówki i szelki do proste-
go trzymania się.
Przyrządy do równania róż-
nych części ciała.

■ **Poduszki i irygatory**, pończo-
chy gumowe, strzykawki,
■ **watę**, aparaty inhalacyjne,
■ **suspensorya i t. p.**
■ **Pasy higieniczne** miesięczne
systemu Teufila.

LAWN - TENNIS,
RAKIETY, PIŁKI,
PIŁKI NOŻNE,

Przybory do rybo-
łóstwa.

PERFUMY, MYDŁA

PUDRY kraj., franc.
i angielskie

14 polecają najtaniej

REIM i Ska. Kraków

Rynek 37. Linia A. B.

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryńska I. 36, I. p.

== Kraków, ulica Zybkiewicza 9. Telefon 796. ==

MECHANOLECZNCZY

ZAKŁAD ZANDEROWSKI

Lecznica chirurgiczno-ortopedyczna.

Oryginalne aparaty Zandera.

Gimnastyka lecznicza. — Pracownia dla sporządzania gorsetów, sztucznych kończyn, opasek przepuklinowych i t. p. — Leczenie gorącym powietrzem. — Mięsienie. — Elektryzowanie.

Aparat Röntgena. — Sala operacyjna. — Pokoje dla chorych.

Leczenie garbów, skrzywień kręgosłupa i kończyn, chorób stawów i kości, goścecia, arytmizmu i t. p.

Zakład otwarty od godz. 9—1 i od 4—6.

Dr. Alfred Merz.

Dr. M. Staszewski.

Dr. Zygmunt Wachtel.

8

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią
zadowolić tutki cygaretowe

„Framos“

z watą „SALVESOL“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nie dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Właśności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

13

„WATA SALVESOL“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. Każdy palący tytoni, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“.

Oryginalny pakiecik „Waty Salvesol“ wystarcza na 200 do 400 papieros. lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ 3 korony. 10 cygarniczek 1 kor. 20 hal. Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

11

Zakład przem. wyrob. papierowych „Noris“

Mr. W. Beldowski, Kraków.

PRZYJACIEL LUDU

ORGAN POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

redagowany przez pośła Stapińskiego
jest najpoczytniejszem pismem ludowem
(nakład 18 000 epz.).

Wychodzi regularnie raz w tygodniu.
kosztuje:

w Galicji i Austro-Węgrzech . 4 korony
do Królestwa Polskiego i Rosji 2 ruble
do cesarstwa niemieckiego . 4 marki
do Ameryki, Rumunii, Danii
i innych państw europejskich 5 koron

PRZYJACIEL LUDU

ma największe zaufanie u włościan i dlatego ogłaszanie się w „Przyjacielu Ludu“ przysparza pewnych odbiorców.

Cena ogłoszeń według umowy.

Adr. „Przyjaciel Ludu“ Kraków, ul. Krótka 6.